



# HUSARIA TRADYCJI

ZIMA 2009/2010 (5)

## **W numerze:**

**Wstęp ( 2 )**

**Baczyński: Ballada zimowa (3)**

**Baczyński: Elegia (3)**

**Baczyński: Magia (3)**

**Feeney: Ryba w piątek (4)**

**Holoubek: Wspomnienia z niepamięci (9)**

**Ivaškevičius: Litwini i Polacy - śladami nienawiści dziejowej (12)**

**Łysiak: Lista grzechu (16)**

**Łysiak: Putin in Kremlin (18)**

**Mackiewicz: Droga donikąd (20)**

**Mackiewicz: Wyjaśnić sprawę "tutejszych" (29)**

**Piasecki: Zapiski oficera Armii Czerwonej (31)**

**Pol: Pieśń o ziemi naszej (37)**

**Słomka: Pamiętniki włościanina (40)**

**Słowacki: Pieśń Legijonu Litewskiego (46)**

**Tarka: Epigoni Wielkiego Księstwa Litewskiego (48)**

**Turkowski: Paderewski (54)**

**ks. Twardowski: Dawna wigilia (54)**

**Zinowiew: Homo sovieticus (55)**

Znów deszcz ze śniegiem - co on tka  
na wielkich krosnach wczesnej zimy  
sznur chłopskich wozów w skrzyniach z sosny  
poległych w lasu głąb zwozimy

miech im całunem będzie mgła  
a światem szronu ostre iskry  
i pamięć nasza przy nich trwa  
i płoną mroki wiekuiste

znów deszcz ze śniegiem ciemny wiatr  
bezkresnych równin suchych ostów  
napelnia świat powiększa świat  
ten wiatr od gwiazd i od lodowców

/Zbigniew Herbert, *Piosenka*/

I oto *wiatr od gwiazd i od lodowców* przywiał piąty (zimowy) numer Husarii Tradycji. Numer przesiąknięty Wschodem, Kresami, zimową bielą. Sąsiedztwo wątków litewskich i rosyjskich jest nieprzypadkowe. Nieprzypadkowa przestroga. *Miech im całunem będzie mgła...*

Na początek trzy niezwykle nastrojowe wiersze Baczyńskiego pisane 68 lat temu (o tej porze). Następna w kolejce jest „*Ryba w piątek*” Fenney'a. Bardzo smaczny tekst traktujący o katolicyzmie i dniu pokutnym. Wszystko przyrządzone po mistrzowsku. Dalej Holoubek. Tym razem wspomnienie z pewnego wieczoru w Szwajcarii i kilka refleksji na temat Rosji.

Po Holoubku czas na Ivaškevičiusa. Jego artykuł „*Litwini i Polacy – śladami nienawiści dziejowej*” na pewno jest dyskusyjny. Pokazuje jednak litewski, ciężki do zaakceptowania przez Polaków punkt widzenia. Oczywiście Ivaškevičius nie jest głosem całego narodu i należy mieć to na uwadze.

Dalej mamy dwa ciekawe artykuły autorstwa Waldemara Łysiaka, które ukazały się swego czasu w Gazecie Polskiej. Pierwszy książkowo-święteczny, drugi putinowsko-rosyjski. Kolejny na liście to Józef Mackiewicz. Najpierw obszernie fragmenty powieści „*Droga donikąd*” (przedstawia losy Wileńszczyzny po wkroczeniu sowietów) a następnie ciekawy artykuł o „*tutejszych*” i polityce narodowościowej II RP...

Po Mackiewiczu – coś na poprawę humoru – „*Zapiski oficera Armii Czerwonej*” Sergiusza Piaseckiego (i znów pojawia się wątek Wilna). Po Piaseckim – Wincenty Pol i fragment „*Pieśni o ziemi naszej*” dotyczący Litwy oraz „*Wspomnienia włościanina*”, w których Jan Słomka opowiada między innymi o pijaństwie, wychowaniu dzieci i moralności.

Dalej – „*Pieśń Legijonu Litewskiego*” napisana przez Słowackiego. Tak na marginesie: utwór ten znalazł się na płycie FOLKRAP, której premiera odbyła się końcem listopada. Tym samym artykuł „*Poezjo naprzód! Jesteś taranem!*” (HT nr 2) okazał się być proroczy!

Po Słowackim bardzo ciekawy artykuł Krzysztofa Tarki - „*Epigoni Wielkiego Księstwa Litewskiego*” - rzecz o Krajowcach Wileńskich. Warto przeczytać bowiem *idee mają to do siebie, że (...) z czasem, przy sprzyjających podmuchach wiosennego wiatru, odżyć mogą na nowo i rzeczywistość przeobrazić.*

Po Krajowcach pora na poezję. Pierwszy wiersz – Turkowskiego napisany w 1935 na pamiątkę powstania wielkopolskiego. Drugi autorstwa ks. Twardowskiego przywołujący obraz dawnej wigilii.

Na koniec „*Homo sovieticus*” Zinowiewa. Otrzeźwiający powiew ze Wschodu...

DH

PS. Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku! Linksmų šv. Kalėdų ir laimingų naujųjų metų! Priecīgus Ziemassvētkus un laimīgu Jauno Gadu! веселого Різдва і з Новим Роком! Veselé vánoce a šťastný nový rok! Häid Jõule ja õnnelikku uut aastat! Békés karácsonyt és boldog új évet! Crăciun fericit și un an nou fericit! срећан Божић и срећна Нова година! Natale hilare et annum faustum! (pominiętych proszę o wybaczenie...)

## Krzysztof Kamil Baczyński

### Ballada zimowa

Chmura z miedzi uderza,  
blaskiem bije w puklerzach,  
jeśli puklerz – to oczy z ołowiu.

W lasach siwych od błysków  
jak znużenia kołyską  
wracał rycerz z puszystych łowów.

A od śniegu – wraz z koniem –  
był jak chmura jabłoni  
huraganem niesiona przez zamieć.

I tak w pędzie zastygli,  
że na mróz jak na igłę  
wbici – z wolna zmieniali się w kamień.

Wtedy knieje srebrzyste  
promień przeciął ze świstem,  
droga przeszła w niebieską równinę.

Złote chleby i ręce  
jak w dzieciństwa piosence  
niosła matka na witanie z synem.

*(Zima 41 r.)*

## Krzysztof Kamil Baczyński

### Elegia

Mokre gałęzie świerków  
przywalał pierś woskową.  
Przechodzili, przechodzili, nieśli  
za oknami piosenki wojskowe.

Zegar wgarnął wspomnienie  
i górą czasu skamieniał.  
Przechodzili za oknem, płakali;  
po grudzie dzwoniły cienie.

A teraz jakże ująć  
strzaskane snów kryształki?  
Noc w oczach stygnie – chmurą.  
Piorun – w twój gromnik z zapałki.

Jeśli testament – to z liści,  
a pomnik jeśli – z płomienia.

Szli w dymu smukłej pieśni,  
gałęzie mokre nieśli.  
*15. XI. 41 r. (Zima 41 r.)*

## Krzysztof Kamil Baczyński

### Magia

Dym układa się w gryfy, postaci i konie  
nad rozlewany ogniem, a on czesząc grzywę  
żółtych płomieni woła: „Przez gwiazdy zielone  
zaklinam cię, demonie, Aharbalu – przybądź!”

Wtedy przez pustą ramę portretu wychodzi  
duch ogromny szeleszcząc od niebieskich iskier  
i staje u pułapu jak wstrzymany pocisk  
naprężonych obłoków, i unosi wszystkie  
rozlane dymy w sobie. Wtedy on zbiegła,  
porywany przez ciszę, trojony przez cienie,  
„Aharbalu – zaklina – przez ten dym stężały,  
Aharbalu – zaklina – przynieś jej wspomnienie!”

Więc w suchym blasku iskier rośnie łuk różowy  
piersi wygiętych twardo, ust rozwartych koncha,  
podłużne liście powiek. Wtedy z jego głowy  
odrzuconej w odległość wypływają oczy  
jakby łzy, w których widać odwrócony obraz  
coraz mniejszy; i płacze: „O, siostró niedobra!”  
a już ona jak kamień – rozpuszcza się w nocy.

*15 październik 1941 r.*

## Leonard Feeney Ryba w piątek

Dla tysięcy naszych amerykańskich rodaków my, katolicy, jesteśmy po prostu ludźmi, którzy w piątek jedzą rybę. Bawi nas (do pewnego stopnia), że myśli się o nas w ten sposób - jak byśmy byli jakimś dziwnym rodzajem „Adwentystów Dnia Szóstego”, którzy z wyciągniętymi patelniami oczekują cotygodniowego przybycia sprzedawcy ryb lub, od czasu do czasu, aby uczynić zadość nakazom jakiegoś dziwnego religijnego zabobonu, pędzą na targ głośno domagając się halibuta bądź owoców morza.

Szkoda, że tak niewiele wiadomo na nasz temat. Jest nas obecnie dwadzieścia milionów w tym kraju i wcześniej czy później trzeba będzie zacząć liczyć się z naszą chrześcijańską wspólnotą w bardziej zasadniczych kategoriach aniżeli piątkowe menu. Jest bowiem regułą, że ludzie, którzy wiedzą o nas niewiele, to „niewiele” i tak źle rozumieją. Rzecz w tym, że my NIE jemy ryby w piątek - to znaczy nie, jeżeli nie lubimy ryb i nie chcemy ich jeść z własnej woli. Należę do tych umiarkowanie dobrych katolików, u których przekonująca moc Prawa Kanonicznego nie rozwinęła upodobania do ryb - ani w piątek, ani w żaden inny dzień tygodnia - i nie ma żadnych widoków, aby coś się w tym względzie zmieniło. Prawda, nie jadamy w piątek mięsa, ale różnica pomiędzy powstrzymaniem się od mięsa i spożywaniem ryby nie jest zbyt trudna do uchwycenia i powinna dostarczyć materiału do przemyśleń.

Tak się dziwnie składa, że uczone wyjaśnienia, dlaczego w piątek jemy ryby, są o wiele głębsze niż wyjaśnienia głupie. Przeciętny, zaprzyjaźniony z nami protestant, który siedzi obok nas w restauracji i widzi nasz cotygodniowy wstręt do mięsa, uzna, że jesteśmy na tym punkcie lekko „szurnięci” - trochę tak, jak ortodoksyjni Żydzi są „szurnięci” na punkcie szynki przez okrągły rok.

I to proste wyjaśnienie naszej piątkowej obserwacji podoba nam się najbardziej - spośród tych, które w ogóle jej nie tłumaczą. Nieporozumienia nigdy nie sprawiają przykrości - pod warunkiem, że nie wynikają z braku szczerości, uczciwości czy z uprzedzeń. Tym, co doprowadza nas do desperacji, jest traktat na temat: „Katolicy i piątkowa ryba”, napisany przez jakiegoś „uczonego”, psychologa zajmującego się teologią czy studenta religioznawstwa.

Jesteśmy zdumieni, gdy profesor Puffles informuje nas, że praktyka jedzenia ryb została wprowadzona do chrześcijańskiego rytuału, gdyż Apostołowie byli rybakami. Lub, gdy dowiadujemy się od bardziej odczytanych autorytetów, że ponieważ obrazki małych rybek były wyryte na ścianach katakumb, wcześniejsi chrześcijanie stopniowo oddali się kultowi ryb, a ten z kolei wywołał u nich pojawiający się okresowo symptom religijny znany pod nazwą *ichthophagus esophagus*.

W tych wielozgłoskowych teoriach irytuje nas nie to, co twierdzą, lecz to, co sugerują. A sugerują oczywiście, że tradycja chrześcijańska stanowi jedynie wyższą formę mitu i że gdyby archeolodzy i inni kopacze mieli czas, aby bardziej zgłębić to zagadnienie, wówczas można by prawdopodobnie wykazać, że Papież Rzymski jest przedłużeniem boga Neptuna oraz że Święte Dziewice z Litanii były początkowo ławicą syren.

Prawdziwe wyjaśnienie słowa IXΘΥΣ wyrytego jako pobożny rebus w katakumbach nie ma więcej wspólnego z naszą praktyką jedzenia ryb niż pelikan wyhaftowany na kapie używanej w czasie wystawienia Najświętszego Sakramentu z faktem, że nie jadamy pelikanów - wyhaftowanych czy jakichś innych. Gdyby nasz rozwój religijny dokonywał się wedle reguł psychologicznych wymyślanych przez profesorów religii, wówczas z całą pewnością konsumowalibyśmy baraninę i pożerali gołębie - miast unikać ich na rzecz ryb - ponieważ pośród wszystkich symboli, którymi

chrześcijanie posługują się w swojej świętej liturgii, bez wątpienia najbardziej powszechne i najmocniej wyeksponowane to właśnie baranek i gołębica.

W czasach mojej młodości, gdy naszymi adwersarzami byli starzy, dobrzy (i zasługujący na szacunek) protestanci - którzy mieli dość rozumu, by dostrzec, że to, co robimy w piątek, nie jest jedzeniem ryby, ale powstrzymywaniem się od mięsa - często cytowano przeciwko nam tekst z Ewangelii św. Mateusza: „Nie to co wchodzi do ust czyni człowieka nieczystym”. Pamiętam wielką burzę, która miała miejsce na łamach czasopism katolickich próbujących wyjaśnić tę trudność.

Jaka szkoda, że katolicycy apologety tamtych czasów nie mieli dość taktu, by być mniej apologetyczni. Miast silić się na wymyślanie odnośnych egzegez tekstu biblijnego – które nikogo nie zadowalały, nawet nas samych – mogli wskazać na ogromny honor, jaki czyniliśmy mięsu, uważając jego nieobecność na naszym stole za wyrzeczenie. Nikt w ramach aktu pokutnego nie ofiaruje Bogu czegoś, co uważa za złe, lecz to, co uznaje za dobre. I nikt tak naprawdę nie rozumie, jak dobre jest mięso dopóki, dopóty nie spróbuje żyć bez niego choćby przez jeden dzień w tygodniu. Poza tym, dlaczego nie zwrócono uwagi na fakt, że kiedy jakieś wielkie święto Kościoła – powiedzmy Boże Narodzenie – przypada w piątek, stajemy się wówczas radośnie - i pozaplanowo - mięsożerni; otwarcie porzucamy naszą lojalność względem ryb i przenosimy ją na pieczonego indyka? Prawda jest taka, że gdybyśmy ośmielili się powiedzieć niekatolikom o liczbie powodów, dla których możemy legalnie jadać mięso w piątek, byliby zgorszeni. Zawsze czymś wyjątkowo zabawnym wydawał mi się fakt, że grozi nam ciągle niebezpieczeństwo zgorszenia ludzi spoza Kościoła, gdybyśmy zaniedbali zrobić tego, czego ci - choć sami uważają to za absurd – po nas się spodziewają.

Powyższe rozważania winny doprowadzić nas do postanowienia, by nie marnować więcej czasu własnego - i czasu niewierzących - na dyskutowanie o tym, co w naszej religii nieistotne. Nie ma sensu usiłować wyjaśniać piątkowej ryby, modlitw dewocyjnych, kadzidła, wody święconej, świec, relikwii, medalików i itp. komuś, kto nie poznał wiary katolickiej od podstaw. Wywołujemy jedynie zamieszanie w umysłach tych, którzy nas pytają i wystawiamy na widok publiczny nasze własne śmieszności.

Pamiętam, jak kiedyś zapytał mnie jeden poważny teolog protestancki: „Czy kiedy ksiądz odmawia godziny kanoniczne z waszego brewiarza, to wierzy ojciec w te wszystkie rzeczy, które o życiu świętych zostały napisane w lekcji Drugiego Nokturnu?”

„Cóż”, odpowiedziałem, „wszystko zależy od tego, jak rozumie się słowo ‘wierzyć’. Nie wierzę w nie w taki sposób, w jaki wierzy się w część chrześcijańskiego Objawienia. Niemniej jednak przyznaję tym tekstom pewien autorytet jako - powiedzmy – najlepszym dostępnym opisom życia świętego w czasie, gdy przygotowywano je dla recytacji w ramach *Officium Divinum*.

„Wie ksiądz”, dodał, nie zwracając najmniejszej uwagi na podane przeze mnie wyjaśnienie, „gdy Francuzi chcą powiedzieć komplement zdolnemu kłamcy, to mówią mu: potrafisz kłamać jak Drugi Nokturn.”

Roześmiałem się głośno. Lecz mój szacowny przeciwnik, choć to dziwne, nie roześmiał się wcale. Sprawiał wrażenie kogoś, kto mówi zupełnie serio.

Dlaczego ja się śmiałem i dlaczego on nie śmiał się z żartu, który całkowicie mnie dotyczył? - Z tego prostego powodu, że z moimi braćmi w wierze dzielę poczucie humoru radykalnie odmienne od poczucia humoru ludzi z zewnątrz. Istnieją – nie ma co do tego wątpliwości – katolickie dowcipy i żarty, których nikt poza katolikiem nie opowie i nikt, oprócz katolika, nie zrozumie. Nie znoszę dokonywać analizy żartu, lecz pozwólcie, że ten jeden raz to zrobię, aby zilustrować, co

mam na myśli.

Każdy katolik wie, że nasz Kościół przemawia niekiedy bezpośrednio w imieniu Boga. Każdemu zdaniu Bożego Objawienia przypisujemy taką świętość, która nie pozwala nam na strojenie sobie z niego żartów. Gdyby ktoś (nawet Francuz) powiedział o kłamcy, że „Umie kłamać jak Symbol Apostolski”, poczułbym się obrażony tą uwagą. Nie tylko uznałbym ją za w najmniejszym stopniu nie śmieszną, ale szybko przywołałbym mego przeciwnika do porządku jedną z ciętych odpowiedzi, które zawsze mam na podorędziu na takie właśnie okazje.

Jednakże lekcje Drugiego Nokturnu nie zawsze pochodzą bezpośrednio od Boga. Wiele z nich zostało napisanych - nie przez natchnionych pisarzy, lecz przez jakichś starych świętych mnichów, którzy próbowali pisać nie historię, lecz panegiryk; nie kronikę, ale pochwałę. Otóż, pomiędzy dobrym panegirystą i dobrym krętaczem zachodzi pozorne podobieństwo, które polega na tym, że jeden i drugi przesadza w swojej opowieści – pierwszy po to, by zachwycać, drugi, by oszukiwać. Oto dlaczego porównanie tych dwóch jest takie zabawne. Ale powszechne prawo wszelkiego humoru osiąganego przez porównanie wymaga, aby pod pozornym podobieństwem kryła się rzeczywista różnica. A jeśli ktoś nie widzi tej różnicy, to nie zrozumie, na czym polega żart.

Co więcej, każdy autentycznie chrześcijański żart jest zarazem śmieszny i patetyczny. Uśmiechamy się nie szyderczo, lecz tkliwie nad starym skrybą, który pisał lekcje do Drugiego Nokturnu, aby upamiętnić ukochanego świętego i który tak bardzo starał się powiedzieć prawdę, że opowiedział ją zbyt dobrze. Miłość bowiem, to najbardziej dziecięca i niewinna z cnót, której niekiedy się wydaje, że może być użyteczną dla wszystkich innych cnót - nawet dla cnoty prawdomówności.

Tę ideę, tak jak istnieje ona w umysłach prostego ludu, zrozumiałem jasno któregoś cudownego poranka w Galway, gdy udałem się na spacer i zapytałem pewnego irlandzkiego chłopca, jak daleko do – nazwijmy to miejsce, którego nazwę ciągle zapominam – Corofin.

-- „Dzień dobry! Jak daleko do Corofin?”

Siedział na murze. Podniósł kapelusz i uklonił mi się.

-- „Około pół mili tą drogą, proszę księdza. I nich Bóg księdza prowadzi!”

-- „Dziękuję.”

Uszedłem pół mili. Przeszedłem następną milę przyglądając się po drodze drogowskazom. I następne pół mili. I następne pół mili. I dopiero, gdy przeszedłem tę samą odległość dwanaście razy, dotarłem w końcu do Corofin, które było oddalone o całych sześć mil.

Wracając późnym popołudniem, spotkałem tego samego Irlandczyka siedzącego na murze. Podeszedłem do niego zirytowany.

„Człowieku, co miałeś na myśli mówiąc mi, że Corofin jest tylko o pół mili stąd?” krzyknąłem. „Corofin jest sześć mil stąd. Wiedziałeś o tym, gdy z tobą rozmawiałem. Dlaczego nie powiedziałeś mi prawdy?”

„Cóż, biedny człowieku”, odpowiedział spokojnie i poważnie, „nie chciałem odbierać księdzu odwagi. Było wcześniej rano, a ksiądz wyglądał na zmęczonego. Dałem księdzu pół mili do Corofin. Dzięki temu ruszył ksiądz w drogę. Ktoś inny dał księdzu kolejne pół mili. To doprowadziło księdza trochę dalej. Tu, w Irlandii ludzie zawsze chcą ułatwić podróż obcemu i dają mu małe podpórki dla zachęty. Z pewnością nikt nie ruszałby w podróż w gorący dzień, gdyby wiedział, jak

daleko musi iść, by dotrzeć tam, gdzie chce dotrzeć.”

„Posłuchaj”, powiedziałem nie uśmiechając się, „moim zdaniem to nie jest zabawne - może bardzo irlandzkie, ale nieuczciwe. Właśnie przyjechałem z Anglii. W Anglii nie oszukuje się ludzi w ten sposób. Anglik dokłada wszelkich starań, aby udzielić tych informacji, o które się go prosi i szczeni się, że jego informacje są prawdziwe”.

„Czy wie ksiądz, na czym polega problem z Anglikami?” odpowiedział gwałtownie, waląc jednocześnie pięścią w mur. „Wie ksiądz, na czym polega problem z Anglikami? Oni po prostu nie dość szanują człowieka, aby go okłamać!”.

Nie bronię naiwności tego wesołego wieśniaka z Galway, nie uważam również, aby jego postawa stanowiła - przekonujący czy autentyczny - przykład chrześcijańskiej doskonałości. Żeby być idealnym katolikiem nie wystarczy być Celtem - trzeba jeszcze być świętym. Bez wątplenia jednak da się u niego zauważyć głęboką bezinteresowność, której nie spotyka się wśród innych, jak tylko u dzieci wiary, których słabość polega na tym, że bardziej kochają osobę niż rzecz; człowieka bardziej niż dokładną miarę. Tego rodzaju niezdiscyplinowana wielkoduszność chrześcijańska ma swoje ujemne strony - przyznaję - wolę ją jednak bardziej od zimnej dokładności poreformacyjnych sceptyków, których towarzyskie uprzejmości są rządzone wyłącznie przez ich zainteresowanie własnymi dobrymi manierami. To prawda, są mili, jeśli spotkać ich na krótkim spacerze, zwłaszcza gdy komuś bardziej potrzeba informacji niż uczucia, ale na dłuższą metę wolę „pół mili drogą do Corofin”, a resztę drogi przejdę sam.

Ten prosty przykład pokazuje, że jednym ze źródeł katolickiego humoru jest sama ludzka natura (ze swoją głupotą, z wszystkimi swoimi absurdami, skrupułami i zabobonami) w akcji przemiany w coś jasnego i szlachetnego. Bowiem religia tak uniwersalna jak nasza obejmuje wszystkie klasy społeczne i cierpliwie toleruje pośród swoich członków nawet najbardziej zabawne typy - pod warunkiem, że będą ludźmi dobrej woli.

Jest to jednak humor katolicki w swoim biernym aspekcie. Dzięki niemu katolik jest kimś, z kogo można się pośmiać, ale to nie on sprawia, że katolik się śmieje. Zależy mi na tym, aby odkryć, w ten czy inny sposób, co stanowi najgłębszy sekret naszej radości i co sprawia, że potrafimy się śmiać nawet wtedy, gdy jesteśmy sami.

Jestem pewien, że przyczyną tego jest fakt, iż dzięki światłu wiary znamy paradoksy zbyt wspaniale, by mogły być sprzecznościami. Istnieje pusta radość i pusty smutek wynikające z czystej znajomości sprzeczności, które tkwią w ludzkim życiu. Tego rodzaju radość i smutek są jednak udziałem sceptyków i stoików, którzy rzadko się śmieją i rzadko płaczą. Chrześcijanin natomiast może spoglądać w głąb świata tajemnicy, w którym wszystkie sprzeczności zostają pogodzone - choć pozostają paradoksy. A owocem mądrości chrześcijanina są jego wesołość i jego łzy - bo śmiech i łzy to dla zdrowia psychicznego wentyle bezpieczeństwa, które stanowią piękne ujście dla napięć w naszej naturze.

Mogę zilustrować to twierdzenie inną historyjką.

Niedaleko od miejsca, w którym mieszkam, znajduje się konwent, do którego udawałem się czasami, aby wygłosić rekolekcje. W konwencie tym można spotkać pewną bardzo miłą, starszą siostrę, która opiekuje się jadalnią kapłana i którą będę nazywał Siostrą Marią.

Siostra Maria spędza połowę dnia wewnątrz i połowę dnia na zewnątrz klasztoru, ponieważ jej obowiązki są dwojakiego rodzaju: ma karmić kapelana i kurczaki. Jest to sytuacja paradoksalna sama w sobie i jestem pewien, że to ona tłumaczy wesoły błysk w oczach Siostry Marii, która, nie

wiedząc nic o ewolucji czy relatywizmie, ma dość wiary, by mimo pozornych podobieństw dostrzec ogromną różnicę, jaka zachodzi pomiędzy kapelanem i kurczakiem. Często myślałem, że byłoby uroczo, gdyby któregoś dnia Siostra Maria pomyliła swoje obowiązki i udała się do kurnika z filiżanką kawy, a do refektarza kapelana przyszła wołając „cip, cip” i rozrzucając garście ziarna.

„Siostrzo Mario”, zapytałem któregoś dnia, gdy siedziałem rozpromieniony z powodu wspianego obiadu, który właśnie wniosła na tacy, „Jaka jest ulubiona potrawa Siostry? Co Siostra lubi najbardziej? Co by Siostra dla siebie zamówiła?”.

Siostra Maria wytarła ręce w fartuch i stała przez chwilę zastanawiając się nad odpowiedzią. W końcu zdecydowanie stwierdziła: „Najbardziej to ja, proszę księdza, Kocham piękny, gruby befsztyk!” Po czym zaczęła się śmiać i śmiała się, i śmiała, aż łzy popłynęły jej z oczu.

Muszę przyznać, że nie byłem przygotowany na wybuch takiej radości i mocno się zdziwiłem. Oczywiście znam tradycyjny chrześcijański zwyczaj (bardzo skrupulatnie pielęgnowany przez siostry zakonne) śmiania się za każdym razem, ilekroć myśli się lub mówi o czymś przyjemnym. Lecz to była czysta histeria i wydawała się niczym nie uzasadniona, ponieważ ani Siostra Maria, ani ja nie powiedzieliśmy nic, co byłoby aż tak zabawne.

Dopiero po powrocie do swego pokoju, kiedy miałem czas, by zastanowić się nad tym wydarzeniem, znalazłem rozwiązanie zagadki. Jestem pewien, że powodem wesołości Siostry Marii – wesołości, która doprowadziła ją do łez – był sposób, w jaki posłużyła się słowem ‘kochać’ w zdaniu: „Najbardziej to ja, proszę księdza, Kocham piękny, gruby befsztyk!”

Zabawność powyższego stwierdzenia staje się jasna, gdy pamięta się o tym, co zajmuje serce Siostry Marii przez pozostałą część dnia. Ośmielam się twierdzić, że moje pytanie oderwało ją od jakichś świętych medytacji. Nieczęsto pytają ją o jej gusta kulinarne. Ale gdy już ją zapytano, musiała przyznać, że to samo serce, którym w momentach kontemplacji kocha Boga, jego aniołów i archaniołów, ma również niższe i mniej eteryczne upodobania, kiedy studiuje jadłospis. Otóż niesamowicie zabawnym doświadczeniem jest takie nagle przeniesienie swojej miłości dla czegoś wzniosłego i wiecznego na coś beznadziejnie doczesnego i jadalnego – jednej chwili kochać żyjącego anioła, a w drugiej martwą krowę. Ponieważ jednak Serafinowie są dla Siostry Marii bytami równie realnymi co polędwica wołowa, więc zauważyła absurdalność konfliktu tych dwóch miłości w swym sercu i dostała ataku śmiechu.

Interesujące, że w kołach niekatolickich i w kręgach katolickich, które uległy wpływom niekatolickiej kultury (a wielu z nas przyjęło, w stopniu większym aniżeli chcielibyśmy przyznać, usposobienie pogan i maniery heretyków wśród których żyjemy) nie ma żadnego autentycznego humoru tego rodzaju. Uczciwy chrześcijański żart, dzięki któremu śmiech wstrząsa samymi korzeniami czyjegoś istnienia, został zastąpiony – przynajmniej w tym kraju – przez to, co znane jest jako „dowcip”. Ów dowcip jest nieprawdziwą formą humoru, w którym niedorzeczne wyczucie dla tego, co wzniosłe, łączy się ze wzniosłą wrażliwością na to, co absurdalne. Fizycznym wyrazem takiej postawy nie jest zdrowy i szczery śmiech, lecz sarkastyczny uśmieszek. Przyjmując rzadko więcej niż dwie odmiany – jedna jest pozbawiona miłości, a druga nieczysta – dowcip stanowi niewątpliwie jedną z najbardziej męczących form humoru, jaką kiedykolwiek wymyślono. W końcu ten tzw. „dowcip” całkowicie niszczy zdolność śmiania się i prowadzi do spustoszeń w systemie nerwowym. Nie sposób oszacować, jak wielkie szkody psychiczne wyrządza amerykańskiej publiczności czytanie i słuchanie profesjonalnych dowcipnisiów, dla których rozbawianie innych staje się zwykłą harówką i którzy po krótkim spazmie popularności nieuchronnie ulegają melancholii, alkoholizmowi i innym truciznom.

Lecz dokąd to doprowadziły mnie moje rozważanie, które kilka stron wcześniej zaczęły się od o



ryby? Jestem tam, gdzie znajduje się każdy katolik, który podejmuje się pisać na jakikolwiek temat - piszę o wszystkim, ponieważ jeżeli jest się katolikiem, to nie można w swym myśleniu nie być kosmicznym albo komicznym. Wiara bowiem łączy wszystkie rzeczywistości razem i napęnia świat niespodziankami.

Tym niemniej, przez szacunek dla ulubionych praktyk pokutnych moich współwyznawców, czuję się w obowiązku – zanim zakończę - powiedzieć coś pozytywnego o przedmiocie moich rozważań. Powiem tyle: w te dni tygodnia, w które mięso jest zakazane, lubię wejść do katolickiej kuchni i słuchać, jak smażą się małe rybki. Uważam bowiem, że jednym z najprzyjemniejszych odgłosów jest dźwięk gorącego srebra skwierczącego na patelni. Jednakże doznania kulinarne, jakich dostarczają mi te małe stworzonka, gdy zjawiają się na talerzu z moim obiadem, zależą od tego, w jakim stopniu uda mi się zatrzeć ich naturalny smak przy pomocy dużych dawek sosu do ryb. A to przypomina mi, że jeszcze nigdy nie widziałem butelki sosu do ryb, na której nie znalazłbym informacji, że ów sos uzyskał medal na jakichś międzynarodowych targach.

Leonard Feeney, 'Fish on Friday' w książce o tym samym tytule, s. 3 – 16; Sheed & Ward, 1934; tłumaczył Paweł Długosz

**Gustaw Holoubek**

### **Wspomnienia z niepamięci (fragment)**

W roku 1984 albo 85 na zaproszenie przyjaciół znalazłem się w Szwajcarii. W Zurychu miałem odbyć spotkanie z rodakami. Równocześnie ze mną przebywała tam Aleksandra Watowa i na jej życzenie organizatorzy połączyli nas w jednym polonijnym wieczorze. Jak to zwykle przy tego rodzaju okazjach, my, przybyli z kraju, mieliśmy obowiązek opowiedzenia o tym, co się dzieje, wyrażenia swoich opinii i przewidywań. Polski żywioł wkraczał dopiero w ferwor dyskusji, kiedy to w ścieraniu się różnych poglądów zacierał się jednolity punkt widzenia, jak to zwykle u nas, by w końcu, także po polsku, zakończyć się zbrataniem, wiarą w przyszłość i zgodnym "kochajmy się".

Ale tego wieczoru było inaczej. Pani Aleksandra zaczęła od zwierzenia, od opowieści o swojej wojnie, o niezrozumiałym szaleńczym zagubieniu w wielkim kraju, który uznał za właściwe i zwyczajne nie tłumaczyć się nikomu i przed nikim ze swojego bezprawia. I nagle, po blisko pięćdziesięciu latach od tamtych dni, w Szwajcarii, w tym sterylnym uładowym luksusie pojawił się Związek Radziecki. Jak obcy twór z wojen gwiazdnych, jak gigantyczne zagrożenie dla świata dawno urządzonego, rządzącego się dawno zatwierdzonymi prawami. Pani Watowa mówiła spokojnie, z dystansem, jaki dzielił ją od tamtych lat, ale właśnie dlatego można było konkretniej, z chłodniejszą wyrazistością przyrzeć się tamtej rzeczywistości, której absurd nie da się porównać z żadnym obrazem ludzkich wynaturzeń. Nie ośmieliłbym się nawet zbliżyć do opisu tego makabrycznego pejzażu - zrobiło to już wielu wielkich pisarzy, naocznych świadków, ofiar tamtych losów. Słuchałem zdrętwiały. Nie dlatego, abym nic nie wiedział o tym skazaniu na klęskę nie dającą się porównać z niczym z przeszłości, bo nie klęskę przegranej wojny ani zemstę żywiołów, ale unicestwienie za sam fakt istnienia, za przynależność do określonego narodu. Słuchałem zdrętwiały i upokorzony, bo nas, tych po lewej stronie Wisły, ominął ten los. Byliśmy uczestnikami innej okupacji i choć oskarżeni za tę samą winę polskości, i ostatecznym wyrokiem na równi ze wszystkimi skazani na likwidację, to przynajmniej w warunkach systemu praw najeźdźcy, który usiłował go przestrzegać. To stwarzało pewne pole manewru, które nasz naród wykorzystał do granic możliwości. Od stworzenia armii podziemnej do dbałości o możliwie nieprzerwany tok intelektualnej ciągłości.

Do jakiego stopnia czas zweryfikował te dwa systemy? Czy pozostałość tego potwornego mariażu nie błąka się jeszcze w naszej świadomości, czy nie ma wpływu na ocenę obecnej rzeczywistości?

Wydaje się, że po Niemczech hitlerowskich nie zostało nic. Utopiliśmy pamięć o nich w kloace historii. Do tego stopnia, że obecne myślenie o Europie, w tym o zachodnim sąsiedzie, przemilcza ten niedawny koszmar i prócz sporadycznych sygnałów o tradycyjnym zagrożeniu nie wpływa na ogólną tendencję koegzystencji, na wiarę w kategorię nienaruszalności naszej wolności. Ze Wschodem jest trochę inaczej. To, że zakochał się w nas i od uroczystego ślubu z nami, tego sprzed dwustu lat, wszelkie nasze kroki rozwodowe traktuje jak chwilowy nasz kaprys - jest oczywiste. Przecież wpisany w organizm, głęboko zakodowany w genach jest jego ciąg do zbawiania świata. Trudno, żebyśmy nie stali się przedmiotem jego zainteresowania, skoro leżymy na początku drogi tej ekspansji. Ze swojego punktu widzenia ten nasz nie dość usatysfakcjonowany terytorialnie sąsiad jest w zgodzie z najprostszą logiką. Zdumienie może budzić tylko reakcja nas samych, zwłaszcza tych, którzy na własnej skórze zakosztowali bliskości obcowania z tym tworem. Oczywiście pomijam wszystkich prawdziwych zdrajców, którzy pod hasłem tak zwanej ideologii komunistycznej, z dyspozycji wschodniego mocarstwa urządzili nam Polskę czterdziestu pięciu lat powojennych. Byli wypadkową wyniku wojny i zrządzeniem decydentów o podziale Europy skorzystali z możliwości podporządkowania naszego narodu tym, którym służyli. Ale byliśmy, i w pewnym sensie nadal jesteśmy, świadkami innego zjawiska - trwającej fascynacji tym, co można by nazwać wiewem Wschodu. Nikt nie może nie dzielić podziwu dla fenomenu, jakim jest na przykład twórczość artystyczna tego regionu świata i znaczenia tej sztuki dla ogólnego dorobku kultury. Bez literatury i muzyki rosyjskiej bylibyśmy zubożeni o ogląd człowieka w jego najbardziej zagadkowych zakamarkach. Nikt też, kto zetknął się z tamtymi ludźmi, nie może stanąć bez podziwu dla ich inteligencji i wyobraźni, tej szczególnej wyobraźni, jaka pozwala na zobaczenie świata, na dokonanie jego trafnej diagnozy bez fizycznej możliwości poruszania się w nim. No dobrze. Ale fascynacja, o której mówię, mogłaby być bezinteresowna, tak jak to ma miejsce w normalnych stosunkach między ludźmi, także w stosunkach między narodami. Niemcy podziwiają Francuzów za wyrafinowanie i finezję (Francji wystarczy zachwyty nad samą sobą), Skandynawowie chcieliby mieć temperament Włochów, Polakom imponują Stany Zjednoczone, a Amerykanom Europa. Nasz podziw dla Rosji trąci interesem, czymś w rodzaju przekupstwa za możliwość spokoju, a więc jest fałszywy. Dla nas i dla nich. Nawet kiedy jest szczery. Ale jest jeszcze coś gorszego.

U ludzi z tamtych stron, tych najbardziej narażonych na sowieckie wywózki i tych, którzy potem stamtąd powracali, nie można zauważyć tego, co widać przeważnie u skazanych na cierpienie - odrązy do sprawców cierpień. Przeciwnie. Na wszystkie opowieści o swojej wojennej gehennie zarzucają zmiękczającą mgłę, która, zacierając drastyczne kontury, uwydatnia na poły męczeński, na poły sentymentalny obraz pogodzenia. Jakby w ich skazaniu na pogardę i upokorzenia nie było niczyjej winy, a ich pobyt tam był rodzajem misji, zadośćuczynieniem za własne i cudze grzechy. Skąd się to bierze? Co wprowadza tych ludzi w stan moralnej dezorientacji? Klimat tamtych stron? Pejzaż tej równiny, na której wszystko rośnie bez żadnej potrzeby, czy zimowy śnieg pokrywający nieprawdopodobne przestrzenie nieskałaną bielą. Czy może tamtejsi ludzie, ludzie dobrzy, uczynni, współczujący, bo na równi obarczeni nędzą. A może to jeszcze coś innego.

Bywa tak, że człowiek dręczony systematycznie z sadystycznym poczuciem dręczącego, że czyni to dla dobra ofiary, dla wyznaczenia mu właściwego miejsca podległego oprawcy, że taki człowiek zaczyna przywykać do swego uzależnienia i z instynktu samoobrony, instynktu życia, po prostu szuka ratunku we wmówieniu sobie wygody psychicznej, aby z czasem doprowadzić się do uznania tego stanu za jedynie słuszny i pożądany. Nic dziwnego, że uwolniony, przywrócony do normalności staje bezradny wobec jej wymogów i ze łąką w oku powraca do czasu zniewolenia, głębszego, jak mu się zdaje, wznioślejszego od konieczności pobytu wśród tak zwanych wolnych ludzi. Widziałem dziesiątki tamtych twarzy, zagubionych i zdeglustowanych, które ożywiały się

tylko na wspomnienie Rosji. Twarze ludzi, których pobyt tutaj i spojrzenie na Polskę są przez nich oceniane z punktu widzenia tamtej ojczyzny.

Świat zachodni w błogiej, przyrodzonej mu niewiedzy, z dobrodusznym uśmiechem niewiniątka namawia nas do przyjaznych stosunków z naszym wschodnim sąsiadem. Zgoda. Ale co ma zrobić mały kraj, żeby uśmierzyć w tym kolosie żądzę posiadania go. Kiedy żadne zapewnienia, żadne układy nie będą miały cech trwałości, a wszelkie kroki naprzeciw ufności po krótkim marszu zderzą się ze ścianą starych urazów. Więc może poczekać, jeśli to tylko będzie możliwe. Bez zachwytów i bez wrogości. Poczekać na zmianę uczuć niewątpliwie silniejszego od nas sąsiada. Ale pod surowym warunkiem, że w tym samym czasie zaczniemy wreszcie zajmować się sobą. I samodzielnie, bez oglądania się na kogokolwiek, tworzyć rzeczywistość na miarę osiągnięć krajów cywilizowanych. Trzeba by może zacząć od zmiany stosunku do własnego państwa i przyjąć do wiadomości po pierwsze - jego istnienie, i po drugie - obecność jego uznać za wspólne nadrzędne dobro. Takie przeświadczenie miałoby tę zaletę, że wszystkie niepowodzenia i błędy w budowaniu systemu współżycia bralibyśmy na siebie, a nie zwalali na zmistyfikowany abstrakcyjny twór ze stolicą w Warszawie. Że złodziejstwo, korupcja i bezprawie byłyby likwidowane w społecznym poczuciu odpowiedzialności, ze wszystkimi tego społeczeństwa prerogatywami, a tylko w imieniu państwa. Że priorytetem myślenia i postępowania w kształtowaniu narodu byłaby jednostka ludzka, każdy z nas z osobna, bo tylko poprzez troskę o nią, poprzez dbanie o jej znaczenie i godność można by się doczekać społeczeństwa moralnie dojrzałego. Godność. Tym jednym słowem można by określić wszystko, z czym inni musieliby się liczyć. Bo jest to poczucie własnej wartości i wielkoduszność, surowość wobec siebie samego i wspaniałomyślność wobec szukających pomocy. I honor. Ten szczególnie stan ducha, który każe brać odpowiedzialność za własne postępowanie i jeśli trzeba, ponosić wszelkie jego konsekwencje. O co więc w rezultacie idzie? Jak powiadają przemyślni obserwatorzy życia: "Jeśli nie wiadomo o co chodzi - na pewno chodzi o pieniądze..."

Ależ tak. Oczywiście, że idzie o dobrobyt. Ten materialny i ten duchowy. Bo jak dowiodły dzieje, tylko on stanowi o prawdziwej sile. Coś mi się zdaje, że Rosja jest kobietą. Dużą, raczej czarną, urodziwą, demoniczną i liryczną na zmianę, rozlewającą się w dobroduszości i rozdawnictwie dóbr swojego ciała, ale z tego tytułu właśnie czerpiącą największe korzyści, bardzo zazdrosną i nade wszystko kłamliwą tym jedynym rodzajem kłamstwa, jaki jest udziałem wyłącznie kobiety, kłamstwa, do którego nie tylko nigdy się nie przyzna, ale za które, za zarzucanie go jej, trzeba przeproszać do końca życia. Czy nie warto przeciwstawić się jej zamożnością ducha i ciała, którą powyżej nazwałem dobrobytem? Może to byłby sposób na to, aby chęć zdobycia nas zamieniła na podziw.

I trochę od rzeczy - a może niezupełnie. Kiedyś, jeszcze za Breżniewa, po jakichś filmowych zajęciach musiałem wracać z Moskwy koleją. Podróż była częściowo nocna i uciążliwa. W moim przedziale z kuszetkami jechała bardzo miła staruszka. Opowiadała, że mieszka na Syberii i właśnie od trzech tygodni wędruje do Niemiec Zachodnich, do swoich dzieci, syna i synowej, których nie widziała od dwudziestu lat. Bardzo długo starała się o tę możliwość i teraz szczęśliwa i podniecona zmierza w nieznaną świat. Wypytywała mnie, jak tam jest, jak tam jeszcze daleko i ile jeszcze granic trzeba przekroczyć. Nad ranem wygrzebała ze swoich tobołków coś w rodzaju pudełka czy kartonu, aby w tajemnicy, w przypląwie ufności pokazać mi ciasto. Ciasto rumiane i jeszcze pachnące, które upiekła przed wyjazdem i które było przysmakiem jej dzieci. Śmiała się i mówiła, że niczego innego nie potrafiła wymyślić na prezent dla nich. Na granicy z Polską wkroczyła do wagonu umundurowana wataha ruskich żołnierzy czy celników i wiedziona nieomylnym instynktem runęła na ciasto staruszki. Rozkruszyli je na drobny pył i poszli. Płakała już potem całą drogę, a w Warszawie, kiedy wysiadałem, powiedziała mi: "Przyjechałby pan do nas na Syberię. Tam jest naprawdę pięknie".

Arunas Ivaškevičius

## Litwini i Polacy: śladami nienawiści dziejowej

W czerwcu na Litwie będzie obchodzona 63. rocznica krwawych wydarzeń, które odbyły się na początku XX w. i stanowią apogeum niezgody między Litwinami i Polakami. Polacy przypomną sobie i złożą hołd pamięci rodakom, pomordowanym przez Litwinów w Gliniszczach, Litwini zaś prawie w tym samym czasie pochylą czoło przy wspólnym grobie, gdzie spoczywają mieszkańcy Dubinek narodowości litewskiej, pomordowani przez Polaków.

To są straszne fakty historyczne, przykłady ślepej zemsty i nienawiści, o których wiedzą dzisiaj tylko nieliczni mieszkańcy Litwy. Mimo że od tych krwawych wydarzeń minęło z górą pięćdziesiąt lat, niektórzy przedstawiciele jednego i drugiego narodu dotychczas nie chcą słyszeć o pojednaniu i wybaczeniu.

Jednakże większa część bliskich ówczesnych ofiar twierdzi, że czas zaleczył rany, zaś o wydarzeniach owych należy pamiętać jedynie po to, by dzieci i wnuki czerpały naukę z historii i nigdy nie kierowały broni na sąsiada Litwina czy Polaka.

W roku bieżącym mijają również trzy lata, gdy weterani Lietuvos vietine rinktine (VR) (Litewskiej Drużyny Terenowej) i Armii Krajowej (AK) podpisali Deklarację Pojednania i wymienili uściski dłoni, chociaż sześć dziesięcioleci temu uważali jedni drugich za śmiertelnych wrogów i zacięcie walczyli jedni przeciwko drugim.

Jednakże po obu stronach znaleźli się niezadowoleni z tego wydarzenia, którzy nie chcą pojednania na warunkach kompromisu, gdy obie strony przepraszają, ale się nie poniżają, wybaczą, lecz nie potępiają byłego wroga.

Nie są zgodni co do terminu ludobójstwa

Litwini i Polacy, którzy w ciągu czterech stuleci mieszkali w jednym państwie, walczyli pod jednym sztandarem w trzech powstaniach przeciwko rządowi Rosji, po pierwszej wojnie światowej stali się śmiertelnymi wrogami. Odmierna interpretacja dziejów, ambicje polityków oraz przeciwstawne sobie wizje odrodzenia Państwa Litewskiego i Polskiego wtrącały oba narody w długotrwały stan wojenny.

Głównym jabłkiem niezgody stało się Wilno, które Litwini od wieków zgodnie z prawem uważali za swoją stolicę, Polacy natomiast - za jeden z ważnych ośrodków polskiej kultury i bez tego miasta nie wyobrażali sobie swego odrodzonego państwa.

O przewadze potęgi wojennej Polski zdecydował demarche Lucjana Żeligowskiego na Wilno, dokonany w październiku 1920 roku, w wyniku którego przez dziewiętnaście lat było ono pod władzą Polski. Od razu po tym, gdy w końcu 1939 roku Związek Sowiecki przekazał Litwie Ziemię Wileńską, zaczęły tu się tworzyć organizacje polskie dążące do zachowania tych terenów jako polskich oraz spodziewające się, że po wojnie stolica Litwy znowu będzie należała do Polski.

Stosunki litewsko - polskie nie uległy zmianie również w latach okupacji nazistowskiej. Od roku 1943 na Ziemi Wileńskiej coraz aktywniej zaczęli działać zbrojni partyzanci AK. W pracach litewskich historyków twierdzi się, że AK na Wileńszczyźnie nie tylko walczyła z Niemcami i partyzantami sowieckimi, ale też terroryzowała i mordowała miejscową ludność cywilną narodowości litewskiej, starając się ją zastraszyć oraz zmusić do opuszczenia Ziemi Wileńskiej.

W 1993 roku była utworzona specjalna komisja Rządu Litwy do oceny działań AK w Litwie. We wnioskach litewskich historyków wskazuje się, że AK dokonywała ludobójstwa cywilnej ludności Litwy oraz popełniła przestępstwo wobec humanitaryzmu. Polscy historycy nie zgadzają się z terminem "ludobójstwo", przyznają jednak, że na skutek działań AK cierpiała na Ziemi Wileńskiej również ludność cywilna narodowości litewskiej.

## Interesy państwowe

Dzieje starć VR i AK są krótkie, lecz bolesne. Pierwsze starcie dopiero co ukształtowanych oddziałów "plechawiczuków" z polskimi partyzantami nastąpiło 29 kwietnia 1944 roku koło wsi Wilkańce niedaleko Ejszyszek. W dniach 4 - 13 maja AK kilkakrotnie rozbiła VR pod Turgielami, Grauzyszkami i Murowaną Oszmianką.

W toku tych walk zginęło ogółem około stu pięćdziesięciu żołnierzy VR. Tylko w czasie ostatniego decydującego starcia pod Murowaną Oszmianką, do niewoli polskiej trafiło 324 Litwinów. Jeńcy byli rozebrani do bielizny i sznurami odesłani do Jaszun i Oszmiany z listami dowództwa AK Okręgu Wileńskiego do dowódców VR.

Należy zaznaczyć, że jeszcze przed rozpoczęciem walk Litwinów z Polakami podejmowane były próby pertraktacji, jednakże tajne pertraktacje między dowódcami podziemia litewskiego i polskiego w latach 1942 - 1944, a także pertraktacje w 1944 roku między dowódcami VR i AK nie dały żadnych wyników. Zasadnicza przyczyna braku porozumienia była ta sama - odmienny pogląd na Ziemię Wileńską i jej przynależność.

Pozostali przy życiu weterani VR i AK po raz pierwszy przy jednym stole zasiedli dopiero na początku XXI wieku. 2 września 2004 roku, po trwających kilka lat pertraktacjach Związek Weteranów Żołnierzy VR i Klub Weteranów AK podpisali w Prezydenturze Deklarację Pojednania. Droga do pojednania była trudna, ponieważ w świadomości wielu Polaków VR dotychczas jest kolaborantem niemieckim, natomiast Litwini patrzą na AK jako na swą krzywdzicielkę i niszczytelkę litewkości. Nie jest tajemnicą, że bardziej były zainteresowane podpisaniem deklaracji i aktywnie popierały te procesy rządy obu państw, które się stały partnerami strategicznymi.

"Niełatwo jest po wybaczeniu swych krzywd historycznych, powiedzieć "przepraszam" za krzywdy wyrządzone innym. Polacy i Litwini potrafią to uczynić. To uczyniliście dziś wy, weterani walk przeciw nazistom i sowietom. Wasza przyjaźń jeszcze bardziej umacnia braterstwo narodów polskiego i litewskiego, którego nie uda się zburzyć żadnym nieprzyjaciołom naszych krajów" - mówił prezydent Valdas Adamkus pozdrawiając pojednanych weteranów.

## Łzy bez gniewu

"Gdy żołnierze samoobrony przyszli do domu mego ojca, przemówił on do nich po litewsku, więc go nie zabrali. Brata zaś z dwoma innymi chłopcami schwyтали dalej od domu. Wzięli i poprowadzili. Ojciec dowiedział się i pędem pobiegł na ratunek, ale nie zdążył - wszyscy już byli martwi" - wspomina tragiczne wydarzenia dnia 20 czerwca 1944 roku mieszkanka Glinciszek (w rejonie wileńskim) Teresa Samuchowa.

W owym dniu litewski oddział samoobrony, rozlokowany w pobliskim Podbrzeziu, postanowił swój gniew wyładować na ludność cywilnej Glinciszek, większość której stanowili Polacy. To był akt zemsty za czterech żołnierzy samoobrony zabitych z zasadzki koło wsi przez partyzantów AK.

Oddział samoobrony po przeczesaniu całej wsi zebrał i rozstrzelał ogółem 37 Polaków. Wśród zamordowanych było kilkoro dzieci. Nie uniknął śmierci i idący w tym czasie przez wieś żebrak Polak. Litwini zwłoki zabitych wrzucili do jamy i odjechali. Jednak za tę egzekucję wkrótce spotkała ich zapłata - Niemcy aresztowali organizatorów zbrodni, przywieźli ich do Glinciszek i rozstrzelali.

Zwłoki ofiar mordu w Glinciszkach później zostały pogrzebane w innym miejscu, a nad mogiłami wzniesiony memoriał - rzędy krzyży i tablica pamiątkowa, na której wykuto nazwiska zamordowanych. "Oto i mój brat" wskazuje ręką T. Samuchowa na napis "Mieczysław Sobolewski 1922".

W dniu tragedii miała ledwie dziesięć lat, ale dotychczas pamięta grozę, jaka ogarnęła całą okolicę,

gdy żołnierze samoobrony szukali Polaków i gonili ich na miejsce kaźni. Kobieta twierdzi jednak, że teraz nie czuje już żadnego gniewu.

"Co zrobić, takie były czasy. Ja i teraz płaczę, gdy tu przychodzę, ile jednak można nosić w sobie gniew? Nie jest mi ważne jakiej narodowości jest człowiek - Litwin, Polak, czy Rosjanin - ważne, aby był dobrym człowiekiem. Mój dziadek jest Litwinem, ja jestem Polką, byłam zamężna za Rosjaninem. W 1991 roku, pragnęłam, aby Litwa była wolna i pięć razy jeździłam do Wilna, by dyżurować przy Sejmie" - opowiadała T. Samuchowa.

### **Zemsta za zemstę**

Zdaniem T. Samuchowej, miejscowi mieszkańcy co roku w czerwcu gromadzą się przy memoriale ofiar mordu, niekiedy wyrażają niezadowolenie z tego powodu, że na cmentarzu w Dubinkach (rejon malacki), gdzie są pogrzebani rozstrzelani Litwini, na pomniku jest napis, że zamordowali ich partyzanci AK, natomiast w Glinciszkach nie ma napisu, kto jest winny tragedii. "Jeżeli już tak, to ani tu, ani tam nie trzeba było nic pisać twierdzi kobieta. - Takie różnice tylko podburzają ludzi".

Tragedia w Dubinkach - to ciąg dalszy mordu w Glinciszkach. Partyzanci 5. brygady AK pod dowództwem Zygmunta Szendzielarza Łupaszki, gdy się dowiedzieli o wydarzeniach w Glinciszkach, postanowili w odwecie dokonać zemsty organizując wypad do "Litwy kowieńskiej", to jest wylać złość na Litwinach mieszkających po tamtej stronie przedwojennej linii demarkacyjnej między Ziemią Wileńską a Litwą.

Dnia 23 czerwca AK rozpoczęła mordowanie ludności cywilnej narodowości litewskiej w Dubinkach i okolicznych wsiach parafialnych: Bijciszkach, Janiszkach, Inturkach. Rzeź trwała dwa dni. Według obliczeń polskich historyków z rąk AK zginęło wtedy do 27 Litwinów, jednakże sami Litwini doliczają się dwustu ofiar.

"Z bratem spaliśmy w stodole. Tamci zaczęli dobijać się do drzwi, więc krzyknąłem: jakiego tam diabła, jak wałnę! Tamci tak się rozżalili, że od razu chcieli zastrzelić, ale ojciec zaczął prosić o litość i oni się uspokoili" - o zetknięciu się z AK przypomina 81 - letni dzisiaj mieszkaniec dworu w Dubinkach Stasys Cijunaitis.

"Dobrze, że umieliśmy po polsku. Gdybyśmy nie umieli, nas też by zabili. Przewrócili cały dom, szukali litewskich książek, ale znaleźli tylko litewską książeczkę do nabożeństwa. Pytali dlaczego litewska, więc im odpowiedziałem: mieszkam na Litwie, to i czytam po litewsku. Zostawili, nic nie zrobili" - do dziś dziwi się S. Cijunaitis.

### **Widniejące ślady kul**

Brat matki S. Cijunaitisa Bolesław Stramyła nie uniknął śmierci. Mężczyzna ten wynajął się do pracy w gospodarstwie Koste Gyliene, gdyż jej mąż służył w policji i na długo wyjechał z domu. "Mój wujek tam i mieszkał, miał przydzielony mały pokoik. Kiedy przybyli Polacy zaczęli się czepiać do Gyliene, trzymającej na rękach czteromiesięczne dziecko, on za nią się wstawił. Tamci pomyśleli, że to jej mąż - bach i zastrzelili. A potem zastrzelili i Gyliene oraz wszystkie jej dzieci" - wzdycha staruszek.

"Była Živile, Tekla, Jadzia, Vytukas, Genovaite - wymienia S. Cijunaitis imiona zamordowanych dzieci K. Giliene. - Żywa została tylko Aldute. Przestrzelili jej rączkę. Kiedy strzelili, upadła, a potem odzyskała przytomność, wdrapała się na wóz i tam przeleżała, aż przyszli ludzie. Zdaje mi się, że żyje dotychczas w rejonie wilkomierskim".

"Jak z takimi można się jednać? - oburza się S. Cijunaitis mówiąc o Deklaracji Pojednania Podpisanej przed trzema laty przez weteranów AK i VR. - Mówili, że to zemsta za Glinciszki. Gdyby szukali winnych, to inna sprawa, ale po co strzelać do dziecka na rękach matki?"

Inny mieszkaniec dworu w Dubinkach Jonas Gurskas jest skłonny przebaczyć mordercom. W czasie rzezi w Dubinkach zginął jego przybrany brat Vytautas, mający zaledwie trzy latka oraz pierwsza żona ojca J. Gurskasa - Ona. J. Gurskas, urodzony już po wojnie, mieszka dotychczas w tej samej chacie, gdzie w drewnianej podłodze w izbie widnieją ślady trzech kul, które przeszły ciała śpiących w łóżku ofiar. "Czas robi swoje. Ja na przykład nie czuję żadnego gniewu. Przecież już tyle lat minęło" - twierdzi J. Gurskas.

Opowiedział również "Panoramie" trudną do uwierzenia historię. J. Gurskas bawił pewnego razu w Polsce, a tam znajomi powiedzieli mu, że znają człowieka, który uczestniczył w egzekucji jego rodziny. "Poszedłem do niego w gościnę, więc on aż się zmieszał. Mówił, że nie strzelał, ale był w tej kompanii, gdyż miał taki rozkaz. Pytał, czy się gniewam. Powiedziałem, że nie. Nie strzelałeś, to nie strzelałeś. Posiedzieliśmy, wypiliśmy kawy, zrobiliśmy po kieliszku. Wymieniał mi jakieś nazwiska, ale ich już nie pamiętam - dawno to było" - mówił J. Gurskas.

### **"Proces umorzono"**

Jeszcze w roku 1992 Prokuratura Generalna rozpoczęła badanie wstępne mordu dokonanego w Dubinkach, jednakże dotychczas ani prokuratorom, prowadzącym śledztwo, ani funkcjonariuszom wydziału badań wstępnych Departamentu Bezpieczeństwa Państwowego nie udało się znaleźć ani jednego żywego podejrzanego. Akta sprawy zawierają materiały przesłuchania przeszło 120 świadków.

Prezes Klubu Weteranów AK Waclaw Pacyna twierdzi, że wśród pozostałych na Litwie żyjących weteranów AK nie ma ani jednego, który by miał ręce umaczone krwią ludności cywilnej. Aktualnie na Litwie mieszka zaledwie 22 członków AK.

Weterani VR, których jest znacznie więcej - około trzystu - wcześniej też niejednokrotnie musieli udowadniać, że ich sumienie jest czyste. Jak mówi prezes Związku Weteranów Żołnierzy VR Antanas Paulavicius, VR była oskarżana i o mordowanie Żydów i o egzekucję w Glinciszkach, chociaż tych przestępstw nawet teoretycznie nie mogła się dopuścić - podstawowa fala ludobójstwa przetoczyła się przez Litwę w latach 1941 - 1942, kiedy jeszcze nawet nie myślano o utworzeniu VR, mordu zaś w Glinciszkach dokonano wtedy, gdy VR już nie istniała.

Jednakże weterani VR i AK przed paroma laty uczcili pamięć ofiar zamordowanych w Glinciszkach i Dubinkach - razem zwiedzili oba memoriały, wspólnie odmówili modlitwy, a tym samym obcowali jedni z drugimi. Byli wrogowie również wspólnie zwiedzili pole bitwy pod Grunwaldem. Jednakże W. Pacyna twierdzi, że ostatnio zerwały się kontakty z weteranami VR.

Mieszkający w Litwie dziennikarz polski Jacek J. Komar, zgłębiający dzieje AK, mówi otwarcie, że proces pojednania AK i VR "umarł". "Niektórym najważniejszy był ten akt, napisaliśmy sprawozdanie, zorganizowaliśmy jedną drugą imprezę i przystępujemy do innych prac. Staruszkowie już nie są nam potrzebni" - tak o niedbałym poglądzie władzy na weteranów mówił z irytacją J. J. Komar.

Weterani AK twierdzą, że w toku przygotowania Deklaracji Pojednania przedstawiciele Rządu obiecali im, jako byłym uczestnikom wojny, dodatki do emerytury, takie jak otrzymują członkowie VR.

Jednak niedawno nieoficjalnie powiedziano im, że rzekomo "w Sejmie nie ma przychylniej sytuacji", więc kwestia emerytur na razie nie może być rozstrzygnięta.

### **Wszystkich nie pogodzisz?**

O tym, że weteranom AK mogą być przyznane emerytury państwowe również część weteranów VR nie chce nawet słyszeć. "Chcą oni mieć taki sam jak my status, ażeby państwo płaciło im emerytury pierwszego stopnia i mogli oni budować na Litwie swoje pomniki. Nie mogą wybaczyć mordów

ludności cywilnej. Należałoby przyznać, że AK na Litwie wcale nie była oddziałem Wojska Polskiego, lecz kompanią "samozwańców". Specjalnie mordowali ludzi, celem ich było zagarnięcie całej Litwy" - mówił "Panoramie" jeden z weteranów VR, mimo że w toku rozmowy kilka razy podkreślił, że dziennikarzom "nic nie powie", gdyż nie otrzymał upoważnienia kierownictwa Związku Weteranów Żołnierzy VR.

Jest to tylko jeden przykład tego, że Deklaracja Pojednania nie spotkała się z powszechną aprobatą weteranów. Z pewną nieufnością o pojednaniu z weteranami AK mówi nawet jego zwolennik A. Paulavicius: "Pojednać się było bardzo trudno, ale innej drogi nie było. Jesteśmy ostatnimi w Europie spośród walczących w przeszłości stron, którzy wyciągnęli dłoń do pojednania. Cały czas wiedziałem, że Polacy wciąż jeszcze spoglądają ku Wilnu i mają swoje cele na Ziemi Wileńskiej, ale poczyniliśmy taki krok, ażeby wszystkim było łatwiej."

Historyk Arvydas Anusauskas uważa, że nie jest możliwe powszechne pojednanie "W społeczeństwie zawsze są osoby lub grupy mające odmienne zdanie. Podpisanie tej Deklaracji Pojednania, mimo że uczyniły to organizacje społeczne, jest raczej pozycją państw, partnerów strategicznych - Litwy i Polski - mówiących, że przeszłość nie powinna mieć wpływu na teraźniejszość. Ale czy pojedna to absolutnie każdego z członków obu społeczeństw? Oczywiście, że nie. Tego nie było i nigdy nie będzie, gdyż ludzie są różni, a także mają odmienne doświadczenia. Do takiego zresztą powszechnego pojednania nigdy nikt nie dążył" - mówił "Panoramie" historyk.

"Wiem, że są ludzie nastawieni przeciw pojednaniu. Tacy byli, są i będą, ale trzeba się starać, aby jak najmniej było niezgody. My, Polacy i Litwini, jesteśmy ludźmi wierzącymi i powinniśmy się kierować zasadą, że nasze winy są tak samo odpuszczane, jak i my odpuszczamy naszym winowajcom. Nie ma jak ukarać winnych. Tych, którzy rozstrzelowali ludzi, już nie ma. Zatem nic innego nam, nie zostaje, jak tylko się pojednać i wybaczyć" - wzywa W. Pacyna.

Arunas Ivaškevičius, tygodnik "Panorama" z 8 czerwca 2007 r.

## Waldemar Łysiak

### Lista grzechu

Jak wielu – zawsze bardziej lubiłem prezenty dawać niż dostawać. I jak niewielu – zawsze najbardziej kochałem książki pod choinką. Dlatego ten świąteczny felieton będzie o książkach.

W kręgach historyków, socjologów, politologów i ekonomistów duży szum wywołało niedawne opublikowanie przez „Human Events” konserwatywnej listy „Dziesięciu najbardziej szkodliwych książek XIX i XX stulecia”. Konserwatywnej, bo jury typujące książki składało się z piętnastu wybitnych uczonych i polityków o konserwatywnych poglądach (dlatego liście natychmiast przyklejono etykietkę „indeksu prawicy”). Pierwsze miejsce zajął „Manifest komunistyczny” (1848) Marksa i Engelsa, gdyś „uruchomił karierę największego zła doby współczesnej – totalitaryzmu komunistycznego”. „Manifest” wyprzedził „Mein Kampf” (1925) Hitlera, „Czerwoną książeczkę” (1966) Zedonga [Tse Tunga – w innej pisowni – G.], „Raport” (1948) Kinsey'a, i parę innych pozycji gangrenujących ludzkość (m. in. prace Nietzschego i Keynesa).

Znakomici autorzy listy (przedstawiciele Princeton University, Hoover Institution, Eagle Forum, etc.) przy każdej pozycji zamieścili jej lapidarną historię, charakterystykę i krytykę. O ile z kolejnością typów się zgadzam (jest ona ważna w przypadku pozycji „medalowych”; dalsza



kolejność ma mniejsze znaczenie) – to teksty motywujące wybór napisałbym trochę inaczej. Już metryczkę pierwszej pozycji wzbogaciłbym o zupełnie dziś zapomniany, a bardzo pikantny fakt – Se edycja „Manifestu komunistycznego” została sfinansowana przez bandytę, który majątek zdobył uprawiając normalny proceder rozbójniczy. Tym sponsorem był Jean Lafitte, głośny nowoorleański handlarz niewolnikami i pirat, który złupił setki statków, kilkadziesiąt lat terroryzując Zatokę Meksykańską. Urzędnicy amerykańscy zwali go „największym łotrem, jaki kiedykolwiek działał pod którąkolwiek szerokością geograficzną”. Ścigany nieustannie Lafitte schronił się na starość w Europie, i tam, zafascynowany ideą komunizmu (czyli legalizacją łupiestwa), opłacił pierwszą edycję dzieła duetu Marks-Engels. Światowe instytuty marksizmu leninizmu wiedziały o tym, lecz ukrywały ten fakt, bo wstyd im było, Se komunistyczne „pismo święte” sponsorował morderca, rabuś i oprawca niewolników, vulgo: komunista pełną gębą.

Publikacja „indeksu prawicy” wznieciła – co było łatwe do przewidzenia – furię lewicowych (salonowych) elit globu. Na autorów spadły gromy, raczej komiczne (przez swą miałość intelektualną) i kompromitujące krytyków (przez typowo „postępowy” faryzeizm argumentacji), niż poważne. Ja wytknąłbym autorom listy jedynie zawężenie selekcji do książek zwanych dziś „literaturą faktu” (eseistycznych, publicystycznych, naukowych i paronaukowych), czyli zupełne pominięcie literatury beletrystycznej – tzw. „literatury pięknej”. Lista najszkodliwszych książek beletrystycznych XIX i XX wieku winna również powstać, gdyż wybór jest przeogromny i nader smaczny, co „z pewną taką nieśmiałością” (i z „polityczną poprawnością” par excellence) pozwałam sobie zasugerować niżej kilkoma (wskutek braku miejsca tylko kilkoma) charakterystycznymi przykładami.

Zacznijmy od „Fausta” Goethego. Ta bzdurna krytyka kontraktów typu „ubezpieczenia na życie” podrywa zaufanie do towarzystw ubezpieczeniowych, których imponujący rozwój w XX wieku miał niebagatelny wpływ na rozwój demokracji kapitałowej, ubezpieczającej świat przed globalnym krachem finansowym. Analogiczny zarzut można postawić „Układowi” pana Kazana, w której to powieści zostały zmieszane z błotem sfery menedżerskiej, będące ostoją kapitałowych rynków skalających demokratyczny sorosowski świat. Równie szkodliwy wpływ wywarł „Proces” pana Kafki, sprytnie deprecjonujący zalety biurokracji postępowej, ze szczególnym uwzględnieniem aparatu sądowego, bez którego nie mogłaby się rozwijać postępową sprawiedliwość. Zaś postępową ludzkość nigdy nie wyszłaby z gnoju tyranii burżuazyjnej i nie pomaszzerowałaby ku świetlanej przyszłości, czyli ku Edenowi postępu, gdyby nie komunizm, więc robienie sobie jaj z idei bolszewickiej („Folwark zwierzęcy” pana Orwella) bądź jej piętnowanie na smutno („Ciemność w południe” pana Koestlera) to twórczość szkodliwa tout court. Że nie wspomnę o „Armii konnej” pana Babla, który Armię Czerwoną, wyzwolicielkę wielu ludów Europy i Azji, przedstawił, ze szkodniczym zaślepieniem, jako hordę degeneratów. Tudzież o „Ogniem i mieczem” pana Sienkiewicza, który naszych braci Ukraińców przedstawił jako dzicz, to znaczy, excusez le mot, jako sicz, lejąc na wielowiekową przyjaźń Polski Ludowej i narodów Związku Radzieckiego.

Lista lektur koniecznie zakazanych byłaby kaleką bez rozlicznych powieści, które w sposób niewypowiedzianie szkodliwy ujmują związki międzyludzkie intymne. Taka „Ania z Zielonego Wzgórza” pani Montgomery lansuje skandalicznie zacofany typ młodego dziewczęcia, brutalnie krępującego swoją seksualność metodą zmierzania do monogamicznego związku z jednym tylko samcem (na szczęście „Lolita” pana Nabokova i „Kochanek” pani Duras dały silny odpór takim ahumanitarnym przesądom, które w postępowym społeczeństwie nie mogą mieć racji bytu). Z tego samego światłego punktu widzenia oceniając – „Pani Bovary” pana Flauberta i „Anna Karenina” pana Tołstoja są szkodliwe przez swój zakuty tradycjonalizm, gdyż wmawiają kobiecie, Se seksualnie wyzwolona mężatka musi źle skończyć (a cóż powiedzieć o „Damie kameliowej” pana Dumasa juniora, który wmawia płci pięknej, Se płatny seks musi się skończyć przedwczesnym zgodne seksualnej aktywistki wskutek nieuleczalnej choroby!). Są to książki równie szkodliwe jak

„Chata wuja Toma” pani Beecher Stowe czy „Przygody Hucka” pana Twaina, które lansowały błogie niewolnictwo Afroamerykanów. I jak „Moby Dick” pana Melville’a, który heroizował znęcanie się białych mężczyzn nad rzadkimi gatunkami białych zwierząt (albinosów). Lub jak „Zbrodnia i kara” pana Dostojewskiego, który głosił tezę o wyższości chamskiej siekiery nad humanitarną medyczną eutanazją staruszek. Nie będę jednak ukrywał, że najbardziej wkurza mnie „Stąd do wieczności” pana Jonesa, bo gładzenie o wyższości trąbki nad rękawicą bokserką zupełnie nie ma pokrycia w faktach, to znaczy w ostatnich sukcesach „ostatniej nadziei białych” znad Wisły (Gołota, Adamek et consortes).

## Waldemar Łysiak Putin in Kremlin

Ulica w Moskwie. Korespondent zachodniej prasy podchodzi z mikrofonem do przechodnia i pyta: „Prezydent Putin chce wprowadzić prohibicję, zabronić Rosjanom alkoholu, co pan na to?”. Rosjanin drapie się w głowę i mówi: „Wie pan, ja to już swoje wypilem, ale dzieci szkoda...”.

Putin nie zrobi takiego głupstwa, bo wie, iż tysiąc lat ruskiej historii solidnie ugruntowało psychiczny i biologiczny (genetyczno-hormonalny) model rasy rosyjskiej, rasy niewolniczej, rasy kulisów, pariasów, lumpów i czynowników, którzy chętnie obywają się bez miazmatów typu wolność czy sprawiedliwość (praworządność), ale bez wódki nie dadzą rady żyć. To już prędzej bez tlenu, jako beztlenowce, chociaż kilka putinowskich eksperymentów naukowych w tym względzie (exemplum okręt podwodny „Kursk”) nie przyniosło jeszcze rezultatu oczekiwanego. Specyfikę rosyjskiej wędrówki w świetlaną przyszłość (zapowiadaną tam corocznie od kilkuset lat) ukazał bezbłędnie, aczkolwiek metaforycznie, modny ostatnio hit kinowy - dokumentalny pełnometrażowiec „Marsz pingwinów”. Trudno o inne skojarzenie, gdy się kontempluje „milczącą większość” pokornych rosyjskich dreptaków (pokornych a la „milczenie owiec”), tudzież kołyszący chód Putina w czarnym garniturku założonym do białego gorsu. Pingwin i Putin Rosjanin mają zresztą tę najszlachetniejszą bolszewicką końcówkę nazwiska (Lenin, Stalin, Kalinin), która nobilituje od Kaliningradu, przez Lenino i Stalingrad, po Kamczatkę.

Czy tylko bolszewicką? Kończówką in szczyił się już niejedyn ludowy i baśniowy bohater rosyjski, a także wielcy twórcy, choćby poeta Puszkina, którego młodzieńczą zażyłość z Mickiewiczem ciągle się odgrzewa w nawiązaniu do bredni pt. jaki to był z tego Puszkina wolnościowiec, demokrat i przyjaciel Polaków. Tymczasem winno się przypominać prawdę, bo Puszkina był takim samym wolnościowcem i przyjacielem Polaków jak Putin: pisał krwiożercze wiersze antypolskie, opluwając nasze antycarskie bunty i wychwalając rzeź Pragi - istny prestalinista, liżący tyłek Mikołajowi I. Równie dobrze moglibyśmy mienić przyjacielem Polaków nottinghamczyka z końcówką in - Robina - miałyby to sensu tyle samo, lub więcej, bo Robin Hood na Polaków nie czekał. I gdy już o nim wspominałem - czas przejść do tematu: prezydent Putin a legendarne wzorce stuprocentowej męskości w cywilizacji naszego świata.

Właściwie Putin jest wcieleniem wszystkich mitycznych herosów, jakich znamy, od Herkulesa i Eneasza, po Napoleona i Pattona. Jednak felieton to krótka forma publicystyczna, sięgnijmy więc tylko do trzech - do wspomnianego Robina Hooda, do Jamesa Bonda i do Bruce’a Lee. Robin zabierał bogatym, by oddawać biednym, i Putin praktykuje to samo: zabrał miliarderoi Chodorkowskiemu, by oddać kagiebiom biedniejszym niż oligarcha. Jest drugim już (pierwszym był Andropow) zawodowym (etatowym) szpiegiem, który wskoczył na tron carów z nonszalancką kagiebowską gracją (ani wstrząśnięty, ani zmieszany), ma więc prawo przedstawiać się jak Bond: „Jestem Putin, Władimir Putin” (co brzmi: „Jestem zamordystą, samodzierzłą zamordystą”). Jest

także dzudoką, i w ogóle mistrzem walk wschodnich, ma - jak Bruce Lee - czarny pas, i walczy wspaniale: ustawia kamery, rzuca (przez biodro) jakąś kimoniastą dziewczynę na ziemię niczym szmacianą lalkę, po czym skromnie się uśmiecha, kiedy wszyscy biją brawo. Superman.

Wszelako walory fizyczne nie tworzą jeszcze pełnego geniusza, konieczne są także przymioty ducha, mózgu i charakteru. Tych Putinowi nie brakuje. Po pierwsze: to prawdziwy (a nie billboardowy) „człowiek z zasadami”. Ma zasady żelazne: media, które go nie lubią, przejmuje, a ludzi, którzy go nie lubią, wsadza. Wielki pacyfikator. Pacyfikuje wszystko co grozi przedłużeniem konfliktu, rzucając jednostki specjalne i rachmistrzów, którzy liczą trupy dzieci, kobiet bądź pacjentów. „Liudiej u nas mnogo”, więc specbojowcy Putina siekają równo z trawą, by dobić nawet tych, co przeżyli gazy bojowe. Później ogłasza się kolejny triumf pacyfikatora, i milczący „marsz pingwinów” toczy się dalej, do następnego szpitala, bądź sali teatralnej, bądź szkoły, którą trzeba spacyfikować bez pardonu.

Przy tym - wielki uczyony. Konkretnie: wielki historyk; lub jak kto woli: historiograf. Stare porzekadło mówi, że „historię piszą zwycięzcy”, i to się zgadza. Putin swoją własną, czerwoną, nową wersję II Wojny Światowej ogłosił z placu Czerwonego. Ta nowa, obowiązująca teraz wersja, mówi, że II Wojnę Światową wygrali „niemieccy i włoscy antyfaszyści”, którzy wspierali Armię Czerwoną, słowem: krasnoarmiejcy, plus duet Toto-Alberto Sordi, plus lewicowy pisarz Grass i lewicowy kanclerz Schröder, również we dwójkę. Ten ostatni dostał za to posadę u Putina, co - według słów wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej, Siima Kallasa - „kompromituje Niemcy jako państwo”, lecz wspaniałomyślny pracodawca Putin gotów jest zatrudniać przyjaciół nie zważając na złośliwości malkontentów. Chirac wylądował w moskiewskiej restauracji „Paris Rouge” jako szef sali, a Zapatero w petersburskim kabarecie gejowskim „Wielocipied” jako rozweselacz Juan Fasola; Berlusconi obejmie funkcję doradcy szefa mafii nowgorodzkiej; itd., itp. Kwaśniewski mógłby otrzymać tam - po starej znajomości, lecz „bez przebaczenia” - tylko stanowisko portiera w bocznym westybulu Łubianki, to wszystko.

Polacy winni są wdzięczność Putinowi. Ustanawiając jako nowe narodowe święto rocznicę wypędzenia Polaków z Kremla - przypomniawszy światu, że Polacy to jedyni wojownicy, którym udało się zdobyć moskiewski Kreml, długo w nim rezydować, rządzić stamtąd Rosją, mianować carów itp.

Takie pognębienie Ruskich nie udało się nikomu innemu, sam Bonaparte, „bóg wojny”, spędził na Kremlu ledwie parę godzin i musiał wiać, dzięki czemu Francuzi do dzisiaj czują wobec Kacapów wielki respekt, dlatego kiedy czasami klną: „Ce vieux Putain” („putain” to po francusku k....) - myślą nie o Putinie, lecz chłosczą tą grą słów prohitlerowskiego kolaboranta, marszałka Petaina.

Dla Polaków wszyscy ci faceci z czerni, mający końcówkę in - Lenin, Stalin, Petain, Putin - to jeden sort. Problem w tym, że my możemy mu „skoczyć na puklerz” (jak mawiał Gajos-Turecki), a on może nam tak przyłożyć gazrurką, że łeb nam spuchnie. C'est la zyzń, mesdames, messieurs i dorożki towarzyszy.

**Józef Mackiewicz**

## **Droga donikąd (fragmenty)**

- Już wiem, o co bolszewikom chodzi - mówił Karol, prychnąwszy wodą w ustawioną na pokrywie studni miednicę.

Wstawało właśnie słońce z lasów pokrywających kraj. Na każdym listeczku lśniła rosa, o której powszechnie mówi się, że jest srebrna, choć w istocie swej nijaka, nieziemską, z nieba spadła, i dlatego tak orzeźwiająca. Ptaki na drzewach robiły razem z nimi swą poranną toaletę smarując dziobem piórka i głośno usiłując przekonać się nawzajem, że na świecie jest radośnie. W rzeczywistości tylko zwierzęta albo bardzo doświadczeni ludzie wiedzą, w jakim stopniu radość zależy od stanu pogody. - Zawsze wychodzili o świcie pod studnię, żeby się umyć. Sprawiało im przyjemność prosto ze snu skoczyć obydwoma nogami w świeżość dnia jak w orzeźwiająca rzekę.

- Wiem, wiem...- powtarzał Karol niemal wesoło, przecierając rękami po mokrym torsie. - Bolszewizm nie od radości "nieba" chce oderwać człowieka, a właśnie przeciwnie, od radości "ziemi". On nie jest wrogiem, jak to powiada pierwszy z brzegu klecha, życia pozagrobowego, a właśnie życia doczesnego. On niczego nie "rozpętał", jak to utrzymywali nasi ojcowie w okresie rewolucji 1917-18 r., a na wszystko, absolutnie na wszystko nałożył pęta! Ot, co!

- Słuchaj, ja się nachylę - przerwał mu Paweł - a ty polej mi wodą plecy... Ufff! Zimna...

- Teraz wiem, że bolszewizm powstał nie z walki z Bogiem, a z walki z człowiekiem, z jego przyrodzonym prawem do wolnego życia.

- Dzisiaj w nocy przyszedłeś do tego przekonania?

- Dziś w nocy. (...)

Puszcza zwana Rudnicką od miejscowości Rudniki, położonej w jej środku, leżała w odległości 20 kilometrów na południe od miasta. Stanowiła jedną z resztek niekończących się ongiś lasów Wielkiego Księstwa Litewskiego. W niej polowali wielcy książęta, a po zjednoczeniu Litwy i Polski królowie obydwu narodów. Carowie Wszechrosji nie raczyli do niej zaglądać, obrawszy sobie za rewir do polowań bardziej słynną Puszcę Białowieską, gdzie do dziś dnia żyją żubry, podczas gdy w Rudnickiej wyginęły one na przełomie XVIII i XIX wieków. Ale ostatniego niedźwiedzia zabito w niej na początku XX, gdzieś przed rokiem 1914.

Od tej fatalnej daty począwszy, kraj przechodził z rąk do rąk piętnaście razy podczas licznych wojen. Z rosyjskich w niemieckie, w bolszewickie, litewskie, polskie i znowu litewskie, polskie ... Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej zjeżdżał tu na łosie jeszcze w roku 1938. W cień drzew ukradkiem zaledwie zaglądała historia, i od jakich przodków, przez jaki szlachetny atawizm zrodziła się piękność Weroniki, niepodobniestwem byłoby dojść dzisiaj. Być może, pochodziła od jakiegoś przygodnego kochanka, z licznych zabłąkanych czy polujących w puszczy myśliwych...

Były to ziemie nie tylko litewskie, białoruskie i polskie jednocześnie, zjednoczone w przeszłości i pokłócone współcześnie; zamieszkiwali je też Żydzi i Rosjanie; na tych ziemiach zwycięscy w wojnach tatarskich wielcy książęta osadzali przed wiekami jeńców dając im grunty i przywileje. Dlatego wśród sosen północnych zdarzało się spotykać jeszcze minarety z półksiężcem; tu, w stołecznych ongiś Trokach nad potrójnym jeziorem, zasiedli krymscy Karaimi, wyznający Pięcioksiąg Mojżeszowy, ale odrzucający Talmud; kościoły katolickie budowano przeważnie w stylu włoskiego baroku, rzadziej w gotyku; cerkwie prawosławne w niezmiennie kopulasto bizantyjskim stylu; z czasów Reformacji zostało trochę wyznawców Kalwina, mniej Lutera; w bardziej zaś odległych od miasta stronach, wśród lasów i bagien, ludzie szukający prawdy poddawali się wpływom różnorodnych sekt; w ten sposób pokłócone ze sobą Cerkiew i Kościół zgodnie zwalczały badaczy Pisma Świętego, baptyistów, zielonoświątkowców, szundystów i wiele innych herezji...Ale opisywać szczegółowo ludzi tego kraju byłoby równie długo, co wymieniać wszystkie jego rośliny, zwierzęta albo rzeki i jeziora, które z dużej wysokości dostępnej dziś samolotom wydają się być podobne kałużom, ostałym po wielkim deszczu; tu dodać może by

jeszcze wypadło, że niebo nad krajem jest przeważnie chmurne.

Gdy Hitler ze Stalinem podzielili wschodnią Europę, Sowiety wkroczyły doń czerwoną armią w latach 1939-40, i był to początek tego nowego okresu, o którym nikt na świecie nie wiedział przedtem, w co się wyrodzi kraj i ludzie, gdy zostaną opanowani przez współczesny bolszewizm. (...)

Z nastaniem jesieni portretom Stalina w witrynach sklepowych przestały wreszcie dokuczać muchy. Miasto przybrało wygląd jeszcze bardziej szaro-czerwono-szary. Wszyscy mieszkańcy wpadli na ten sam pomysł, aby się sztucznie przybiednić. Kobiety zamiast kapeluszy włożyły chustki na głowę, mężczyźni zaś czapki. Każdy wdział ubranie możliwie najstarsze i podniszczone. Do jesieni pasowały palta koloru nijakiego, spod których wystawały spodnie niezaprasowane, również koloru nijakiego. Z drugiej jednak strony unikano Wyróżniania się szczególną biednością. Przeciwnie, chodziło o to właśnie, aby się jak najmniej wyróżniać, zlać z otoczeniem możliwie najidealniej, przystosować do tłą. W ten sposób w państwach kapitalistycznych usiłują zlewać się niewidocznie z tłumem ulicy szpicle policyjni i konfidenti. Po wkroczeniu armii czerwonej sztuka rozplywania się w szarości dnia stała się od razu udziałem wszystkich; nie musiała być zatem trudna, skoro ulica od pierwszych dni przybrała wygląd, jakby szły nią wyłącznie tłumy konfidentów.

Ludzie sowieccy, wkraczający do miasta, spotykali obraz znany im z domu. W większości zatem zaskoczeni bywali nic dobrobytem, panującym poza granicami Związku, a raczej faktem, że w państwach kapitalistycznych wyglądało nie gorzej, a mniej więcej podobnie jak w ojczyźnie mas pracujących, choć propaganda twierdziła co innego. Nie wszyscy jednak byli tego samego zdania.

Starszy lejtenant NKGB Michał Zajcew, napisał do swego brata list, w czarnych kolorach malując sytuację, jaką zastał. Przybył on z pierwszymi oddziałami i zatrzymał się w trzeciorzędym hotelu, nazwanym dla czegoś przez właściciela "Italia". Hotel położony był w dawnej dzielnicy handlowej. Właściciel przezornie schował całą pościel, pokoje nie były sprzątane od kilku dni, służba, poza jedynym portierem, rozbiegła się. Nadomiar złego nastąpiło krótkie spięcie, a mechanika w ogólnym rozprężeniu nie dało się odszukać. Stary portier przyniósł do numeru świecę wetkniętą w butelkę po piwie i żeby udobruchać gościa, zapytał, czy nie sprowadzić mu "dziewczynek"? Zajcew, który dotychczas nie stykał się z jawną prostytutką, za której uprawianie idzie się w Sowietach do łagrów, w pierwszej chwili nie zrozumiał, a później poczerwieniał i odrzucił propozycję z oburzeniem. Portier widział w swoim długim życiu nieskończoną ilość różnych gości, więc się nie zdziwił i życzył mu dobrej nocy.

Nazajutrz Zajcew, nie mogąc dostać szklanki gorącej herbaty, wyjął z podróżnej torby papier listowy i napisał list do Moskwy.

"Drogi Kola, słyszałem i czytałem dotychczas dużo, ale nigdy nie przypuszczałem, iż świat kapitalistyczny do tego stopnia tonie w nędzy i brudzie. I to podwójnym: fizycznym i moralnym... Nigdzie tu poza tym nie ma ani stołówek, ani kooperatyw... Wyobraź sobie, że już pierwszego wieczoru zaproponowano mi kobiety, które tu z nędzy i głodu zmuszone były sprzedawać swoje ciało... Ulice niesprzątane... Tłumy ludzi wiwatują oczywiście, ciesząc się z wyzwolenia..."

Schodząc po schodach z zapieczętowanym listem, poklepał po ramieniu starego portiera w halu:

- Nu, co? Cieszycie się?

- Naturalnie. Jakżeby inaczej? - Odparł tamten bez uśmiechu. - Cieszymy się. Bardzo nawet.

Zajcew spojrział mu w oczy i nagle zwątpił w jego słowa. "Stary chrzan!", pomyślał. "Takich się nie przerobi".

Od tamtego dnia minęło pół roku. Paweł, przechodząc do muzeum obok kościoła św. Kazimierza, minął Zajcewa, którego wówczas jeszcze nie znał. Zajcew stał w towarzystwie dwóch oficerów sowieckich i przyglądał się barokowej architekturze świątyni; ziewał, przesłaniając ręką usta. Muzeum mieściło się naprzeciw.

Zajmowało ono duży gmach pośrodku placu. Było pierwszym ośrodkiem, mającym skupić siły naukowe kraju, rozproszone wskutek zamknięcia uczelni i innych organizacji tego typu. Paweł nie

spodziewał się nawet, iż spotka w muzeum tylu znajomych. Pracowało w nim kilku profesorów uniwersytetu i gimnazjów, kilku luźnych naukowców i miłośników-dyletantów spośród elity intelektualnej miasta wszystkich zamieszkujących je narodowości. Poszedł szerokimi schodami na piętro. Na klatce schodowej b. profesor uniwersytetu po profesorsku, niezgrabnie, pomagał woźnemu w przesunięciu jakiejś skrzyni. Paweł minął go nie zatrzymując się i wszedł do jednej z sal. Kazano mu czekać, gdyż dyrektor muzeum, jedyny autentyczny naukowiec sowiecki, rozmawiał właśnie z Moskwą przez telefon ze swego gabinetu.

Któryś z byłych nauczycieli uśmiechnął się podając Pawłowi rękę:

- Jedyna przyzwoita praca - szepnął nachylając się konfidencjonalnie. - Konserwacja tego, co było, nie?

- Zupełnie jak u Romanowa.

- Jakiego Romanowa? - spytał szybko, zaskoczony brzmieniem nazwiska cesarskiego.

- Pantelejmona.

- Co to za jeden?

- Pisarz sowiecki. Nie czytał pan jego książki "Trzy pary jedwabnych pończoch"?

- Nie.

- Charakteryzuje w niej inteligencję rosyjską w pierwszych latach po rewolucji w Moskwie. Właśnie tak samo skupiała się i właśnie w muzeum... Nawet pod takim samym hasłem konserwacji przeszłości. Identycznie. Jak to się jednak wszystko powtarza... - zakończył gorzko. Były nauczyciel uśmiechnął się z przymusem i odszedł.

Po upływie pół godziny Paweł zdecydował się zapukać nieśmiało do drzwi kancelarii.

- Tsss... - wyskoczył z niej ten sam były nauczyciel gimnazjalny. - Dyrektor rozmawia z Kownem.

- Mówił pan, że z Moskwą.

- Proszę pana - odciął tamten cierpko - czego pan sobie właściwie u nas życzy?

- Już wspominałem. Chciałbym sprzedać starożytną szablę.

- Nie kupujemy. - Zawrócił na pięcie i zaniknął za sobą drzwi do kancelarii.

Paweł wyszedł na plac nawprost pomnika Lenina i Stalina. Pod cokołem stała młoda para. Dziewczyna trzymała za rękę swego przyjaciela i patrzyła mu w twarz z rozkochem. W jej oczach szklono się odbicie nieba. Wypogodziło się. Nad połączoną kopułą kościoła na tle błękitu krążyło stadko białych gołębi. Paweł, zły na siebie za jałową stratę czasu, teraz przyśpieszył kroku. Postanowił zająć do Konrada, byłego adwokata, o którym krążyły słuchy, że ma jakieś rozległe ni to możliwości, ni to stosunki. Paweł znał go z dawnych czasów jako człowieka czynnego. O jakie to stosunki w tej chwili mogło chodzić, nie miał pojęcia. W każdym razie chciał się z nim zobaczyć. W domu go jednak nie zastał. Powiedziano mu, że wykłada na kursach wieczorowych.

- Wykłada? Co? - zdziwił się Paweł.

- Fizykę.

Paweł udał się pod wskazanym adresem. Nie było stąd daleko. Konrad miał w szkole własny pokój, coś pośredniego pomiędzy gabinetem fizycznym a gabinetem prywatnym.

- Jak się masz! - wyciągnął dłoń na powitanie.

- Nigdy nie wiedziałem, że jesteś fizykiem - odpowie dźwiękiem Paweł.

- A tak. To było zawsze moje, jak powiadają Anglicy, hobby. Teraz się przydało.

- Gdy prawo nie ma zastosowania?

- Gdy prawo nie ma zastosowania.

Paweł nie rozwodząc się długo, wyluszczył z czym przychodzi, że mianowicie chce, raczej, że musi koniecznie coś znaleźć, jakąś pracę, bo inaczej... rozłożył ręce bezradnie. - Mówiono mi - zakończył nieśmiało - że ty podobno... że masz jakieś sposoby, no, możliwości...

- Bzdury ci ktoś prawił. Zresztą, mniejsza - odparł Konrad, przybierając poważny wyraz twarzy.

Pomyślał chwilę. - No, a w prasie?... -- przeciągnął trochę niepewnym głosem, ale ułowiwszy przelotnie wzrok Pawła, poprawił się z namaszczeniem w krześle. - Choć oczywiście, ja rozumiem, to nie jest w tej chwili odpowiednie. Tak, tak.

- Wolałbym - wtrącił Paweł - coś takiego, no, aby nie musieć...

- Tak, tak, ja oczywiście rozumiem. Ja na przykład osobiście wykładałem w dziedzinie zupełnie

neutralnej. Fizyka. Poczekaj, więc cóż by tu tobie pomóc, poradzić ...Hm.

- Towarzyszu Konradzie! - zawołała nagle, uchylając drzwi bez pukania, jakaś dama. - Dziś godzina konstytucji stalinowskiej została przesunięta. Więc czyby towarzysz nie zgodził się swą fizykę... - Konrad nie dał jej dokończyć; zerwał się z krzesła i pobiegł do drzwi tym specjalnym truchcikiem starszych panów, w którym obydwie nogi wybiegają ja koś naprzód w zgiętych kolanach, a bardziej ociężały zadek jakby fruwa z tyłu w powietrzu.

- Naturalnie, naturalnie, towarzyszo dyrektorko. Bardzo chętnie.

- Poza tym podjęła dama - chciałabym was prosić, czy byście nie poprowadzili piątej klasy w niedzielę na odczyt... - Paweł nie dosłyszał, na czyj odczyt, gdyż Konrad uczynił brzuchem ruch ku przodowi, dyrektorka się wycofała, a on zamknął za sobą drzwi, i sądząc po krokach poszli wolno korytarzem.

Pozostawszy sam, Paweł rozglądął się po gabinecie. Nad szafą z przyborami fizycznymi wisiał portret Stalina. Obok stołu, półki z książkami naukowymi. Na stole leżał tom w zielonej oprawie. Sięgnął poń ręką i jął przerzucać kartki. Było to najświeższe wydanie "Słownika politycznego".

Litera A

.....  
AGENT. - Agentura szpiegowska państw kapitalistycznych. W zakres jej działalności wchodzi tajny sabotaż przeciwko SSSR...

.....  
AGONIA. - W przenośni mówi się o agonii państw kapitalistycznych...

.....  
ASCETYZM. - Odwraca uwagę mas pracujących od walki o lepsze jutro, osiągnięte przez partię Lenina-Stalina...

Litera B

.....  
BANDYTYZM. - Zbrojny napad na SSSR...

Litera W

.....  
WATYKAN. - Agentura i ostoja międzynarodowej re akcji, szaleństwa i nienawiści. Dysponuje ogromnymi środkami szpiegostwa i propagandy...

.....  
WROGOWIE LUDU. - Trockistowsko-bucharinowscy agenci obcych wywiadów, którzy...

Wrócił Konrad, przepaszając za przerwę, westchnął, dając tym do zrozumienia, jak przykre ma teraz obowiązki, jednocześnie jednak zerknął spod oka podejrzliwie i nawet z pewnym rozdrażnieniem na Pawła, widocznie mając mu za złe, że był mimowolnym świadkiem rozmowy w drzwiach. Paweł dla odwrócenia jego uwagi powiedział odkładając książkę:

- Boże, cóż to za głupia katarynka.

- Co? Ach, słownik polityczny. Taaak. - Uśmiechnął się kwaśno. - Straszna bzdura. Z drugiej jednak strony - zaczął poważniejąc - nie wolno widzieć wszystkiego wy łącznie od strony negacji i kpin. Ostatecznie to oni nas zwyciężyli, a nie my ich.

- Nie zwyciężyli, bo nikt się nawet nie bronił. Zadali cios w plecy...

- Wszystko jedno, wszystko jedno. Albo raczej: tym bardziej. Takie słowa, jak "zdradziecko", "cios w plecy" itp. to są wszystko dziecinne frazesy, mój drogi. W polityce realnej się nie liczą. Liczą się tylko fakty i siła. Dość nasłuchaliśmy się bajek o "kolosie na glinianych nogach". Okazało się, że glina wcale mocna. Jedno państwo za drugim rozpada się w drzazgi, a oni jakoś... przeciwnie. Zupełnie przeciw nie. - Wziął ze stołu okulary, których używał do czytania i począł je przecierać nerwowo, za czym ciągnął z wzrastają cym rozdrażnieniem. - Dość, dość, mój drogi, tej wiecznej donkiszoterii. Trzeba się wreszcie nauczyć myśleć trochę realniej i brać rzeczy istotne pod uwagę, a nie ciągle spoglądać przez różowe szkła romantyzmu. - Podniósł okulary pod światło. - My zwłaszcza jesteśmy narodem nieuleczalnie chorym na najstraszliwszą chorobę, bo samobójstwa. Tak też o nas inni sądzą, i dlatego lekceważą. Raz skończyć z ty mi szarżami kawaleryjskimi, z przelewami krwi pour le roi de Prusse, z tym porywaniem się z motyką na słońce.

Paweł mimo woli wtrącił nietaktownie:

- Czyżbyś miał na myśli "słońce konstytucji stali nowskiej"...
- Cóż to znowu za dowcip? To może ma być złośliwość pod moim adresem? Toś źle trafił, mój kochany, bo właśnie ja...
- Ależ, Konradzie, skądże znowu. Co ci do głowy przychodzi! Nie rozumiesz się na żartach czy co? Nie pojmuję twego rozdrażnienia.
- Nie, bo widzisz - odrzekł pojednawczo - czasy nie są dla żartów stworzone. My nic, tylko wiecznie... jak ten Hotentot z nożem w zębach. Trzeba się oduczyć tych gestów, niepotrzebnych ofiar itd. Mówię - a mówię to, jak się domyślasz, nie tylko w swoim imieniu, ale... - Tu odchrząknął i zrobił minę, jaką czynili kiedyś starostowie, zasiadający do przewodniczenia radzie powiatowej. - Ale mówię w imieniu - zniżył głos poufnie - czynników mających szerszy horyzont niż my tu, dwaj. Żadnych wystąpień, żadnych ekscesów...
- Zdaje się, że nie zachodzi tego obawa. Raczej przeciwnie. Wszyscy niestety...
- Właśnie, że nie "niestety", mój drogi, a "chwała Bogu!" Naszym zadaniem zachować substancję narodową, stan posiadania, utrzymać się samym. Nawet położyć uszy po sobie, mówiąc ordynarnie. To może nie jest przyjemne, ale...
- Wygodne - wtrącił Paweł.
- Ale konieczne, konieczne! - dokończył Konrad, hamując ponownie wybuch rozdrażnienia. Spojrzał na zegarek.

Paweł przesunął wzrokiem po ścianach obitych w zielonawe tapety i przypomniała mu się nagle zielona sukienka Marty, którą wymieniła onegdaj na kawałek słoniny. "Czas, czas! Szkoda czasu", pomyślał. Ale Konrad chciał zakończyć swą przemowę jeszcze jednym argumentem:

- Zresztą, nie trzeba zapominać, jeżeli już wychodzimy z założeń politycznych, że już raz, i to przez sto lat, byliśmy opanowani przez Rosję i wyszliśmy z tego cało.
- Ty myślisz, że dziś to jest ta sama Rosja?
- Identyczna.

Paweł nie odpowiedział i dopiero po chwili milczenia, która nastąpiła, odezwał się:

- Właśnie chciałem cię prosić, żebyś dopomógł mi, jak to się wyraziłeś, do "położenia uszu po sobie"... ("Eh", pomyślał jednocześnie, "niepotrzebnie tych słów użyłem").
- Tak, słusznie, no, akurat zastanawiam się... - I Kon rad, nie przestając bawić się okularami lewą ręką, prawą przrzucił przez poręcz, rozsiadł się wygodniej, powiódł roztargnionym wzrokiem i zapytał: - Co to jest? Co ty masz w tym opakowaniu? Parasol?
- Nie, nie parasol. To jest szabla.
- Co takiego?!! - Zerwał się z krzesła na równe nogi. - Szabla?! Coś ty zwariował z szablą chodzić po mieście?!! Przecież...

Paweł przerwał mu i zaczął tłumaczyć, iż jest to zabytek muzealny, stara karabela wysadzana srebrem, ale Kon rad nie dał mu dokończyć!

- Srebrem czy nie srebrem! Co to ma do rzeczy! Kto dziś będzie o to pytał, kiedy ona została zrobiona: sto lat temu czy cztery! Ja nie rozumiem ludzi, takiego pokroju, jak ty! Wszystko sobie lekceważą, wszelkie przepisy, rozporządzenia. Przecież wyraźnie ogłoszono we wszystkich językach krajowych: zdać całą broń palną i sieczną. I sieczną, i sieczną! - powtarzał. - Bo inaczej grozi surowa kara. Aha, nawet w rubryce siecznej wymieniono specjalnie: szable. Więc jak ty możesz narażać siebie, no i ostatecznie innych... Przychodzić tu, do mnie, w biały dzień... A gdyby tak nagle rewizja! Nie!!!!... - I aż zakręcił się z oburzenia na miejscu. Paweł nie był pewien, czy Konrad nie przesadza w okazywaniu oburzenia, aby tym prędzej go się pozbyć. Wstał nie poruszając już sprawy, dla jakjej przyszedł. Pożegnali się z pewnym zażenowaniem, ale Konrad, opanowując się, już na progu, dorzucił:

Przyjdź więc może za kilka dni. Tylko już bez... - Uśmiechnął się wymuszenie, ale urwał spojrzawszy szybko wzdłuż korytarza.

- Dobrze, dziękuję - odrzekł Paweł bez przekonania, w ostatniej jeszcze chwili spotkawszy przypadkowo wzrok portretu ponad szafą z instrumentami fizycznymi. Jak wiele portretów o zamarłym na ustach uśmiechu, wydawał się uśmiechać ironicznie. (...)



- A co, zdaniem pana, krótko mówiąc, stanowi główną cechę, różniącą naród rosyjski od sowieckiego, jak go pan nazywa? - zapytał Paweł.

- Krótko mówiąc... Krótko nie można powiedzieć. A jeżeli pan chce krótko, to: wszystko! Wszystko różni. Bo co zostało wspólnego? Język, powie pan, i co jeszcze? Bagnet czterograniasty i bury szynel?... Ja panu powiem, że nie ma w Europie dziś dwóch narodów tak do siebie niepodobnych, jak naród rosyjski i naród... sowiecki. Naród - to nie język, naród - to jego dusza, to jego tęsknoty, jego pieśni, jego literatura. Naród kształtuje się pod wpływem wychowania. Naród rosyjski, który dziś znamy, ukształtował się ostatecznie dopiero w wieku XIX. Pan zna rosyjską literaturę, prawda? A wie pan, kiedy Gogol pisał swego "Rewizora"? Za czyjego panowania? Za panowania cara Mikołaja I. "Żandarmem Europy" nazywano tego cara. I oto ten "żandarm" pozwalał, żeby wystawiać sztukę, w której wszyscy: i urzędnicy, i cały system łącznie z żandarmami wykpiiony był do nitki... Klasyczna literatura rosyjska - to tenże Gogol, Tołstoj, Dostojewski, Turgieniew, Czechow, Szchedrin... wszystko duch sprzeciwu, niezadowolenia, szukania prawdy, rozcinięcia włosa, duch wątpliwości ludzkiej. Chyba tylko jedna na sto książek literackich wydawanych w Rosji nie stawała po stronie uciśnionych i prześladowanych, nie krytykowała stanu istniejącego. A dziś nie ma takiej, która by nie deptała właśnie uciśnionych i nie wychwalała uprzywilejowanych, nie kłaniała się stanowi panującemu...

- Może ze szczerzego zadowolenia... - wtrącił Paweł.

- Tak, pan sobie żartuje w tej chwili... Kiedyś zebrały się, bywało, trzy osoby przy wódce czy samowarze i pierwsza ich rozmowa, to była łajać władzę. Dziś zbierze się dwóch i zaraz piją zdrowie Stalina. Naród rosyjski kochał stepy i lasy, a sowiecki - kominy fabryczne. Naród rosyjski ciągle buntował się przeciw kajdanom, a sowiecki nie tylko się nie buntuje, on je liże! Tak zwana "dusza rosyjska" - to była dusza buntu; dusza sowiecka - to dusza psiej uległości. Naród rosyjski, niech jemu to Pan Bóg zapomni, to był naród spiskowców, sowiecki - szpiclów i prowokatorów, i donosicieli! - Zakaszłał się i urwał. Chmury poszły sobie, i księżyc już więcej nie płynął, a stał w miejscu i mroził. - A dobrze jest w lesie - powiedział. - Cicho, bezpiecznie. - Pogrzebał kijem u nóg w zamarzłych liściach borówek i podjął już spokojniejszym tonem. - Pan nie pamięta, bo jeszcze był za młody, w roku 1912 w tym samym mieście, za panowania cesarza Mikołaja II, wieczna mu pamięć... W jakimś piśmie wydrukowano taki ustęp: "Gdy powstanie gniew narodu i spadnie w postaci pięści, z rządu carskiego mokrego miejsca nie zostanie!" Coś w tym guście. A jakże, był o to proces i wie pan, na co skazano redaktora?

- No?

- Na dwa tygodnie twierdzy. Na dwa tygodnie. Może pan sobie wyobrazić, co by się stało z takim, który by napisał: "Z rządu stalinowskiego nie zostanie mokrego miejsca"?

- Pewnie, że trudno sobie wyobrazić, ale stopień tolerancji nie stanowi tu o żadnej granicy jakościowej.

- Uhum, ma pan rację, to nie stanowi. Tak sobie tylko wspomniałem... - Wstał z pnia i poszli. (...)

Dawno już krótkie słońce zimowe przesunęło się znad lasów południowych nad lasy zachodnie i zaczęło dotykać co wyższych wierzchołków sosen; koń chrupał owies, prosiaki dwa razy wyżarły swoją dzienną porcję; wrony, leniwie i wysoko, zwiastując mróz, ciągnęły stadami, obsiadając szczyty drzew; dymy z chałup poszły prościutko w górę; w dalekich więzieniach zapalono nieosłonięte żarówki; zając kicał z gęstwiny do skraju lasu, szykując się do żeru na runi polnej; błysnęła pierwsza gwiazda na niebie, pierwsze reflektory samochodów na ziemi; skrzypnęły studzienne żurawie po wsiach. Najkrótszy dzień żegnał krainę narodów Związku Radzieckiego i oddalał się na kapitalistyczny zachód.

- ...trzeba zdać sobie przede wszystkim bardzo dokładnie sprawę z sytuacji - mówił Tadeusz, chodząc wielkimi krokami po pokoju Pawła tam i na powrót. - To, co widzimy wokół, jest rodzajem psychicznego paraliżu. Powiadasz: "Skutek terroru psychicznego, jakiego świat dotychczas nie widział". Słusznie, ale jakie są źródła, na czym bazuje się ten terror, skąd czerpie swą siłę magiczną? Znajomość psychiki ludzkiej? Owszem, zgadzam się, ale to jeszcze nie wy prowadzi

nas ze sfery ogólników. Trzeba wiedzieć z chirurgiczną dokładnością, który tu mianowicie klawisz ludzkich zwojów mózgowych jest naciskany. Moim zdaniem, bolszewicy dokonali naprawdę epokowego wynalazku i jak wszystkie tego rodzaju, jest on względnie prosty. Natura ludzka wskutek swej niedoskonałości, nie jest w stanie osiąść prawdy absolutnej. W tych warunkach kłamstwo w dziedzinie psychicznej jest zjawiskiem równie naturalnym, jak, po wiedzmy, w dziedzinie fizycznej jest nim żywioł powietrza, wody i tak dalej, bez których nie możemy się obejść. Niezależnie od tego, czy będzie to kłamstwo złe, złośliwe, czy też niewinne, towarzyskie, czy, jak bywa, miłosierne. Jeżeli teraz nawrócimy do mego poprzedniego porównania z wodą, zobaczymy, że ongiś znalazł się wielki wynalazca, który pod żywioł wody podstawił koło i wyzyskał w ten sposób naturalny potencjał dla swych celów. Identycznie zrobili bolszewicy: pod naturalny potencjał ludzkiego kłamstwa podstawili młyńskie koło, nie po to, by mleć mąkę albo piłować deski na tartaku, ale żeby przepytłować ludzką psychikę. Ja nie będę tu mówić o doktrynie bolszewickiej. Jest to temat bez dna. Ja mówię o technice bolszewickiej, bo tylko znajomość techniki może nam dać klucz do zahamowania ich maszyny. Otóż bolszewicy doszli na podstawie studiów bardziej praktycznych niż teoretycznych, że skon centrowane kłamstwo ludzkie posiada siłę, której granic na razie nie znamy, że można dokonać przewrotu gruntownego w takich dziedzinach, jak mowa ludzka, znaczenie słów itd. - Tadeusz zatrzymał się pośrodku pokoju, uniósł głowę i wskazał palcem sufit:

- Jeżeli ty albo ja, albo ktoś z normalnych ludzi w normalnych warunkach zechce na przykład zełgać, że sufit jest nie biały, a czarny, to rzecz wyda się nam zrazu bardzo trudną. Zaczniemy od kołowania, chrząkania, wskazywania na cienie po jego rogach, będziemy tłumaczyć, że w istocie swej nie jest on już tak zupełnie czysto biały... Jednym słowem, będziemy się posługiwać skomplikowaną metodą, która zresztą nie doprowadzi w końcu do celu, bo nikogo nie przekona my, że sufit jest czarny. Co robią natomiast bolszewicy? Wskazują sufit i mówią od razu: "Widzicie ten sufit... On jest czarny jak smoła". Punkt, dowiedli od razu. Ty myślisz, że to jest ważne dla ludzi, że prawda jest odwrotna? Zapewne tak myślisz. A oni się przekonali na podstawie praktyki, że to wcale nie ważne. Że wszystko można twierdzić i że twierdzenie zależy nic od jego treści, a od sposobu jego wyrażenia. I oto widzimy jak dochodzą do następnego etapu, powiadając do ludzi tak: "A teraz wyobraźcie sobie, że istnieją podli kłamcy, wrogowie wszelkiej prawdy naukowej, postępu i wiedzy, którzy tak nisko upadli w swym nikczemnym zakłamaniu za pieniądze kapitalistów, że ośmielają się łącać w żywe oczy, że sufit jest biały!" I zebrany tłum wyrazi swe oburzenie, wzdargę, a nawet śmiać się będzie i wykpiwać tak oczywiste kłamstwa tych wrogów prawdy... My sądzimy dotychczas, że oni mogą wyczyniać takie seanse zbiorowej hipnozy tylko u siebie po uprzednim zmaltretowaniu swoich obywateli. Nic podobnego. Oto przychodzą do nas i wydają na przykład broszurkę o tym, co u nas się działo. Dla nas o nas samych. Ja tobie zaraz pokażę. - Wyjął z podręcznej teczki małą, szarą książeczkę.

- Co to jest? - spytał Paweł, który wpółleżąc na kanapie i słuchając Tadeusza zabawiał się gładzeniem kota, a teraz wyciągnął rękę po broszurę.

Dziełko wydane zaraz po wkroczeniu armii czerwonej w granice wschodniej Polski w r. 1939, nosiło tytuł "Zapadnaja Biełaruś". Na odwrocie okładki: "Państwowe wydawnictwo literatury politycznej. 18 drukarnia moskiewskiego trestu politgrafiki. Nakład 100 tysięcy". - Widziałem to - rzekł Paweł zwracając.

- Czytałeś?

- Nie.

- To posłuchaj: "W Polsce istniało takie prawo, że gdy zaskrzypi koło u wozu chłopskiego, niepokojąc sen obszarnika, chłop musiał płacić 7 złotych sztrafu. Obszarnik miał prawo bić chłopą aż do utraty przytomności, zabrać odeń ziemię i cały inwentarz za długi - zupełnie bezkarnie i bez żadnego sądu... Robotnik pracował więcej niż 20 godzin na dobę... W armii panował system kar cielesnych, bito pałka mi... żydzi mogli chodzić tylko po niektórych ulicach, po innych nie mieli prawa..."

Paweł roześmiał się szczerze.

- Ty się śmiesz? Śmieje się może jeszcze kilku, do słownie. Ci, którzy jeszcze rozumują starymi

kategoriami, kiedy to twierdził, że podobna lektura byłaby lekturą humorystyczną. W tym tkwił właśnie nasz błąd. To nie jest literatura humorystyczna. Oni to kolportują u nas masowo i... ludzie się nie śmieją. Nie do pomyślenia? - mówił. - Owszem, to jakby na przykład wydać w Londynie książkę, że przechodnie nie mieli prawa mijać pałacu królewskiego inaczej, jak na przykład na klęczkach albo coś w tym rodzaju. Zaręczam sobie, że też nie będą się śmiali, gdy zostaną zagarnięci przez bolszewików. Zaręczam. "Nie do pomyślenia" może być coś jedynie póty, póki istnieje możliwość wytknięcia tego kłamstwa palcem. Z chwilą Jednak gdy palec zostanie sparaliżowany, wszystko staje się do pomyślenia. Oni o tym właśnie wiedzą.

- No, ale poza granicami...

- Co poza granicami? Zaprzeczenie każde stwarza jedynie sporność sprawy. I wiele milionów powie sobie: "Ostatecznie, nie ma dymu bez ognia"... Otóż bolszewicy stworzyli: dym bez ognia. To są rzeczy genialne, mój drogi! Sto tysięcy nakładu dla rozpowszechnienia w naszym kraju, który jeszcze pół roku temu wiedział, jak było naprawdę!

- Schował broszurę i wyjął inną książeczkę, w czerwonej, płóciennej okładce.

- Co ty za bibliotekę wozisz ze sobą? - zażartował Paweł.

- A to, dla pewnych celów... misyjnych - odpowiedział Tadeusz tym samym tonem. - Ty może myślisz, że oni tak piszą tylko na najniższym szczeblu propagandy? - Ciągnął dalej. - Więc posłuchaj wielkiego pisarza Maksyma Gorkiego, jak on pisze o świecie niesowieckim: "...I cóżbyście robili, gdybyście nie umieli łączyć?!... Ogromną zasługą władzy sowieckiej jest stworzenie takiej prasy, która szeroko zaznajamia ludność z życiem całego świata i demaskuje kłamstwa tego życia... Fakt znamienity tego świata, to wrogi stosunek do myśli..."

- Oj, dosyć - Paweł zrobił ruch ręką.

- Ty możesz sobie na to pozwolić, żeby przerwać, ale miliony i miliony muszą słuchać podobnych rzeczy, muszą. W głowie zaczyna się kręcić. Jakaż może być dyskusja, gdy wszystko postawione jest właśnie do góry nogami. Słowa mają tu znaczenie odwrotne albo nie mają żadnego. Odbierz ludziom pierwotny sens słów, a otrzymasz właśnie ten stopień paraliżu psychicznego, którego dziś jesteśmy świadkami. To jest w swej prostocie tak genialne, jak to zrobił Pan Bóg, gdy chciał sparaliżować akcję zbuntowanych ludzi, budujących wieżę Babel: pomieszał im języki.

- Więc jakież jest, twoim zdaniem, sposób przełamania tego zbiorowego paraliżu, wywołanego hipnozą kłamstwa?

- W każdym razie nie można go szukać na drodze polemiki. Sam fakt bowiem polemiki wciąga w orbitę i prze nosi nas w płaszczyznę bolszewickiego absurdu.

- Więc jaki? Powiedz.

- Należy go szukać na drodze równie prostych odruchów psychicznych: strzelać!

Paweł usiadł i oderwał rękę od kota:

- Jak to, strzelać? Do kogo?

- Zwyczajnie. Po prostu. Do bolszewików. (...)

Tadeusz słuchał mówiącego z wyraźnym zainteresowaniem. - Wy tutejszy? - zapytał go.

- Nie. Ja spod Radoszkowicz mołodeczkańskiego powiatu. Niedaleko starej granicy. - Zakąsił jakiś drobiazg, a później płynnie i obrazowo zaczął opowiadać, głównie zwracając się do Tadeusza:

Posiadał trzy hektary gruntu. Gdy na jesieni roku 1939 przyszli bolszewicy, sam z kilkoma innymi ustawiał na ich powitanie bramy triumfalne, umajane jedliną. Ale już po dwóch miesiącach rozczarowanie było powszechne. W listopadzie 1939 jeździł po wsiach specjalny agitator-politruk, który wygłaszał odczyty. Słuchali go wszyscy milcząc. Po odczycie politruk odpowiadał na zadawane pytania. Zebrani interesowali się głównie zagadnieniami natury materialnej. Pytali, czy jest w Sowietach cukier, bo jakoś zabrakło? Albo materiały na ubrania? O cokolwiek jednak zapytali, na wszystko agitator odpowiadał, że tego jest pod dostatkiem, że tylko trzeba poczekać, a podwoją wszystkiego! Wtedy jego coś skusiło, nieczysta siła chyba, zażartować: wstał z ostatniej ławki, na której siedział, i zapytał: "A nędzy u was dużo?". Użył polskiego słowa "nędza", i agitator nie zrozumiał znaczenia. Na wszelki jednak wypadek odpowiedział, że mnóstwo jest, że ją

podwiozą.... Wtedy wszyscy zebrani wybuchnęli głośnym śmiechem - Opowiadanie przerwał Romka:

- Ale przyznaj się, zdrowo musieć przedtem samogonu kierznął, żeby taka pytania stawiać?

- A wiesz, co - odparł opowiadający - że trzeźwy był. Nawet żeby choć szkalik jaki, ale nic nie pił od rana.

Obecni z niedowierzaniem pokiwali głowami.

- No, opowiadaj dalej - przynaglił Tadeusz.

Więc dalej było tak: jak wybuchł śmiech, agitator, zdeorientowany, zaczął rozpytywać się o przyczynę. Wy tłumaczono mu sens żartu. Uśmiechnął się, nic nie powiedział. Ale nazajutrz żartownisia aresztowano. W ten sposób dostał się do Wilejki, siedziby sąsiedniego powiatu, gdzie zorganizowano duże więzienie. Zaledwie po upływie dwóch i pół miesiąca zmasowano już w tym więzieniu przeszło 3 tysiące ludzi, przeważnie chłopów. Zanim przyszło do wyroku, uciekł z drugim jeszcze. Tamten miał wyrok pięciu lat za to, że wyjechał z domu, przywiązał konia z wozem w jakimś miasteczku do płotu i sam wrócił piechotą do chaty.

- Jakże to tak? - zapytał Tadeusz - nie rozumiem.

- Bardzo prosto. Od własnego dobra uciekł. Żeby konia więcej nie mieć. Na co jemu koń, na szarwarki? Wytrzymać nie można było, jak zaczęli ludzi na roboty wyznaczać. Kamienie na przykład zima wozić. Ludzie wozili, palce sobie odmrażali, całą zimę wozili. A przyszło do płacenia, dali kilka kopiejek za metr. Znaczą za darmo pracuj. Pracować, to jeszcze pół biedy, ale z czego konia karmić? W ten sposób dużo kto koni zaczął wyzbywać się. Ten człowiek miał dwa hektary ziemi, z tego konia nie ukarmisz.

Kilku przytaknęło kiwnięciem głowy: - No, tak, z tego nie ukarmi.

Tymczasem gnali i gnali: jak nie kamienie, to drzewo z lasu, jak nie drzewo, to żwir czy glinę, woź im i woź bez przerwy. A kto nie pojedzie, temu trzy lata więzienia. A jeżeli przykładem nie pojedzie, a w tym samym czasie gdziekolwiek robota prywatna weźmie, tak jemu cztery lata więzienia. Ot, jakie prawo.

- Takie prawo, co zrobić - przytaknęli inni. (...)

*(Krótkie wprowadzenie: We wsi prorok zapowiadał cud, który to cud wielu ludzi przybyło zobaczyć. Sęk w tym, że zgromadzenie rozpuścili sowieci i cud się nie odbył. Tego też dotyczy niniejsza rozmowa.)*

Chłop z Łotwy nie zdziwił się, gdy Paweł po dłuższym milczeniu, na wpół do siebie, a na wpół do niego, skierował uwagę:

- Ale żeby choć ktokolwiek palcem ruszył. Taki tłum! A tych garstka.

- Wiadomo, przegrani - odpowiedział.

- Jakto przegrani?

- Chyba pan w karty grałeś kiedykolwiek?... No, to i będzie tak samo, jak w kartach. Postawił na złą kartę i przegrał. A kiedy przegrał, to czy pan, czy drugi, pójdziesz wyrwać swoje pieniądze siłą? Nie pójdziesz. I pomyślenia nawet takiego u pana nie będzie, ani nawet żeby śmiałości takiej. Podobnie choćby i teraz: ludziom cudu zechciało się. Na cud znaczą postawili. A cudu: nie ma! Znaczą przegrali. Bo to: jak pan chcesz, siłą jego wyrwać, cud ten? Nie wyrwiesz siłą. Na to nie ma ludzkiej siły, a wola Boża. - Wyjął lewą nogę z wiadra, obejrzał, oderwał kawał odparzonej skóry spod palców i po chwili podjął rozmowę:

- Ot, ja stał koło drzewka takiego, przysłoniwszy się był do pnia, bo mnie w lewej nodze skurcz bywa, na ziemi klękać trudno... No to stał ja i patrzył na ludzi: chtóren modli się, chtóren śpiewa, krzyczą wszystkie, a ja stoję sobie i myślę: za co to im Pan Bóg ma ten cud zrobić? Za jakie to zasługi? Pan żesz widziałeś sam. Ponazbierało się tego baracha ludzkiego, tu i katoliki, i ruskie prawosławne, i nie wiedząc jakie sektanty, i żydki także samo, i tatarów widziałem, i burłaki starowiercy, nu, jednym słowem, éma! A wiele między nimi sprawiedliwych, powiedz pan sam? Dziesiątek, dwa... Nasz gospodarz, słyszę, kury zagania do chlewu... I prawda, że tylko kury im kraść. To dla kogo? Dla nich było cud robić? Owszem, mówią, prorok ten, chłopczyk młody,

obiecał. Może i prawda chciał. Ale widać żadnego on posłuchania nie ma...

Monolog przerwany został przez hałas klaksonu samochodowego za oknem, i wielka, kurzem pokryta ciężarówka, rozgarniając tłum, który przyciskał się do opłotków, przejechała ulicą wsi, kierując się do traktu. Obydwoj spojrzeli w okno.

- Powieźli - rzekł poważnie starzec.

W drzwiach ukazał się Olszewski: - Powieźli - przestąpił próg, siadł w milczeniu na końcu ławy i ręce złożył na kolanach. Z sieni wciąż dochodziło postukiwanie siekanych kartofli.

- Dużo, musić, wieprzy macie? - przerwał milczenie stary.

- Nieee...

- Uhum... No, to widzisz pan - zwrócił się do Pawła - ja tak i mówiłem: jeżeli nie uda się jemu cudu stworzyć, to będzie bardzo ile. A pan dziwisz się, że jego ludzie nie bronili. Kiedy sami oni od Pana Boga ochrony czekają. A tymczasem Pan Bóg za wszystkim tymi sprawami nie zajmuje się i wtrącać nawet nie chce. Pan Bóg do ludzkich spraw nie miesza się. Powiedział raz Adamu: masz tobie wolna wola! Znaczy, i patrzaj swego interesu. Pan Bóg, On, widzisz, z szatanem wojuje, ale nie z ludźmi. Garsteczka... Ja sam widzę, że garsteczka. Żeby to byli diabły jakie z ogonami, na kopytach krowich i widłami od gnoju, jak ich malują, to może w ta pora Pan Bóg i zesłałby jaki zastęp aniołów z mieczami. Ale sowieci... takie same ludzie, jak i my, i Pan Bóg w taka małość ani nawet wdawać się nie będzie. Nie wiem, może ja czasem i niesprawiedliwie mówię, ale po mojemu, to tak: na szatańska siła jest boska odpowiedź, a na ludzka siła tylko ludzką można dać odpór. To i nie ma czego Panu Bogu głowa durzyć i cudu domagać się, a trzeba za wszystkim inaczej... zaaa wszystkim inaaaaczzej!..

## Józef Mackiewicz

### Wyjaśnić sprawę "tutejszych"

Żaden ze znanych nam w historii systemów polityki wewnętrznej, spekulujący na ciemnocie mas, nie osiągnął korzyści dla państwa. Głównie zarzucano dawnej Rosji carów, że uprawia system utrzymywania ludu na niskim poziomie rozwoju kulturalnego, aby w bogobojnej niewinności pozostających chłopów utrzymać jednocześnie w korbach posłuszeństwa. W rezultacie efekt był piorunująco niespodziewany. Pozbawieni godności własnej, indywidualnej ambicji i szerokiego uświadomienia, ludzie ci dali się pobić małej Japonii, stali się skłonni do podszeptów rewolucyjnych.

Następnie fatalnie spisali się na frontach Wielkiej Wojny i wytworzyli materiał, na którym bazowała druga, już zwycięska rewolucja.

Przeciwnie, moralna siła armii państw zachodnich polegała raczej na uświadomieniu obywateli, a nie na ich nieświadomości. Niski poziom uświadomienia politycznego obywateli nigdzie i nigdy nie wyszedł państwu na dobre. Nawet żeby to byli obywatele innej narodowości niż większość państwowa.

Stawka na ich nieświadomość jest błędem, bo jest ryzykiem, jak każda stawka na niewiadomą.

Właśnie polska polityka narodowościowa popełniała ten błąd w odniesieniu do niektórych mniejszości. Jeszcze przed powstaniem Polski, pewne koła polityczne zaprzeczały Litwinom prawa do samodzielnej myśli politycznej. Nie zdołały im przeszkodzić w budowie własnego państwa, a działały tyle tylko, że od początku urobiły psychikę tego państwa w niechętnym nastawieniu do Polski.

Polityka ukraińska w niepodległej Polsce kierowana była fatalnie.

I w tym wypadku nie mogła zapobiec wytworzeniu potęgi, jaką ostatnio reprezentowały połączone organizacje ukraińskie. Mając wszelkie karty po temu, aby wygrać nimi naturalnego sojusznika dla polskiej racji na wschodzie, polityka ta obróciła przeciwko sobie burżuazyjno-narodowy, greko-katolicki ruch ukraiński. O obłądnych ewolucjach, jakim ulegała polityka ukraińska w rękach panów

starostów, wystarczy wiedzieć tyle tylko, że w niektórych powiatach Małopolski dla zwalczania prawicowej OUN popierało się KPZU! (Komunistyczną Partię Zachodniej Ukrainy...)

O ile polityka w odniesieniu do Ukraińców nie skryształizowana u góry, prowadzona odrębnie na Wołyniu i odrębnie we Lwowie, indywidualnie zaś w każdym niemal starostwie, przedstawiała obraz niebywałego łamańca, o tyle jednolita zdawała się być w odniesieniu do Białorusinów. Po wielu próbach eksperymentalnych w tej dziedzinie, wybrano kierunek, zdaniem moim, najgorszy. Mianowicie postawiono na indolencję, na apatię polityczną, na nieświadomienie narodowe mas białoruskich. Stawka ta nie odpowiadała życiowej fizjonomii kraju. Albowiem kraj ten, choć pozbawiony szkół białoruskich, pism, temperamentu uświadomionej inteligencji i pieniężnych zasobów organizacji, nie tylko nie wykazywał tendencji w kierunku kurczenia białoruskiego stanu językowego, ale rutenizował zarówno osadników polskich, drobną szlachtę, jak całe wsie litewskie.

Wielu uczonych litewskich, a między innymi i profesor Michał Romer w rozmowie ze mną, wskazuje, że proces ten jest dawno już zanotowany. Rzekomo ludność litewska nigdy nie ulegała bezpośrednio polonizacji. Najpierw się rutenizowała, a dopiero wtórnie polonizowała. Gdyby się rzecz tak miała, należałoby uznać w rezultacie, że chłopci mówiący po polsku, powiedzmy w powiecie trockim, nie są już spolonizowanymi Litwinami, a spolonizowanymi Białorusinami.

Charakterystyczne jest jednak dla atrakcyjności biało-rutenizmu, że procesowi polonizacji uległy raczej te wsie, które leżały po tamtej stronie b. linii administracyjnej, niż po tej, gdzie polonizacja stanowiła niejako program państwowy.

Ostatnio przez dłuższy czas przebywałem na dawnej granicy w okolicach Trok. I oto ciekawe zjawisko. W tym miejscu, po stronie "litewskiej", okoliczne wsie mówiły po polsku, zaś po stronie "polskiej", jak nożem uciął: wyłącznie po białorusku...

Być może w zmienionej sytuacji procesy językowe w tych okolicach ulegną pewnym wahaniom w tę lub inną stronę, niepodobna jednak zaprzeczać białoruskiemu lub polskiemu charakterowi tych wsi, jakkolwiekby ich mieszkańcy na pytanie, jakiej są narodowości, po długim drapaniu się w głowę orzekli, że - "tutejsi".

Przed samą wojną redakcja Wiadomości Literackich zamówiła u mnie recenzję z książki Wiktora Piotrowicza na tematy zagadnień wyznaniowych. Recenzja ta nie ukazała się już, skutkiem zawieruchy wojennej. Poddałem w niej, między innymi, ostrej krytyce operowanie przez autora statystyką, wyraźnie tendencyjną. Mówiąc o prawosławnych, wymienia jakąś ogromną cyfrę "Polaków prawosławnych" (!), następnie około 700 tysięcy "tutejszych", dodając w dopisku: "Ludność o nieskryształizowanej świadomości narodowej". - Przyznam, iż nie widzę powodu, aby się taką statystyką chwalić. Państwo, mające aspiracje do wysokiej kultury, po 20 latach nauczania, budowania szkół, szos, organizacji, świątyn, mostów, świetlic itd., miałooby się przechwalać przed światem, że aż 700 tysięcy jego obywateli stoi na tak niskim poziomie kulturalnym, że nawet nie zdaje sobie sprawy, do jakiej narodowości należy?!

Niedawno musiałem własnemu koledze redakcyjnemu usunąć ustęp z artykułu, w którym nazywa Poleszuków "tutejszymi", bez określonej narodowości. Dla mnie jest jasne, że to są Białorusini.

Operowanie argumentem zaciemniającym prawdę, dla politycznej konstrukcji, mści się w końcu, jak każda konstrukcja oparta na nieprawdzie.

Nie reprezentujemy idei wojującego nacjonalizmu. Przeciwnie, chcielibyśmy namówić współobywateli naszego kraju do zgodnego współżycia i poszanowania wzajemnych praw kulturalnych i językowych na zasadach uczciwie ocenionej rzeczywistości. Dlatego też do ujawnienia struktury narodowościowej tej rzeczywistości powinniśmy się przyczynić, nie spekulując na ciemnocie nieświadomych mas.

**Sergiusz Piasecki**  
**Zapiski oficera Armii Czerwonej (fragment)**

22 września, 1939 roku. Wilnius.

Towarzyszowi I.W. Stalinowi

Noc była czarna jak sumienie faszysty, jak, zamiary polskiego pana, jak polityka angielskiego ministra. Lecz nie ma siły na świecie, która by powstrzymała żołnierzy niezwykłej Armii Czerwonej, idących dumnie i radośnie wyzwalać z burżuazyjnego jarzma swych braci: chłopów i robotników całego świata.

Zaskoczyliśmy nieprzyjaciela całkowicie. Ja szedłem pierwszy z pistoletem w pogotowiu. Za mną bojcy. Na granicy nie spotkaliśmy nikogo. Przyszliśmy ku polskiej strażnicy. Otoczyliśmy ją wzorowo i idziemy do środka. Drogę zastąpił nam jakiś zezwierzecony żołnierz faszystowski. Przystawiłem mu pistolet do piersi, a bojcy - bagnety.

- Ręce do góry, pachółku!

Rozbroiliśmy go i szorujemy do środka. Prawie wszyscy tam spali. Nikt nie stawiał oporu. Zabraliśmy broń ze stojaków i wyłączyli telefon. Spytałem jednego z żołnierzy:

- Gdzie wasz dowódca?

- Ten - wskazał palcem.

Patrzę ja: zupełnie chudy pan. Może nawet z robotników wygrzebał się, swych braci sprzedając. Tacy są najgorsi. Pytam ja go:

- Ty tu dowódca?

- Ja - powiada. - O co chodzi?

Złość mnie porwała, ale nie miałem czasu porządnie z nim rozprawić się. Tylko powiedziałem:

- Skończyło się twoje panowanie i koniec waszej pańskiej Polsce! Napiliście się dużo ludzkiej krwi! Teraz trzeba będzie i swoją wyrzucić!

Należałoby się, według sprawiedliwości, i jego, i tych wszystkich otumanionych pachółków kapitalistycznych powyrzucić, chociaż kuł szkoda na takie burżujskie ścierwo. Ale rozkaz mieliśmy jasny: „Jeńców odsyłać na tyły”. Więc zostawiliśmy eskortę i poszli dalej. Nasze orły z NKWD tam z nimi rozprawią się. A nam szkoda czasu. Mamy do wykonania ważne bojowe zadanie.

Poszliśmy dalej wprost drogą. Kierunek na Mołodeczno. Cicho... Nigdzie ani światła, ani człowieka. Zdziwiło mnie to nawet. Tyle czytałem o przebiegłości polskich panów. A tymczasem myśmy ich przechytrzyli. Jak śnieg na głowę im spadliśmy.

Ech, żeby moja Dunia zobaczyła, jak dumnie i śmiało kroczyłem na czele całej Armii Czerwonej, jako obrońca proletariatu i jego wybawiciel! Ale pewnie spała i nie śniło się jej nawet, że ja, Miszka Zubow, stałem się tamtej nocy bohaterem Związku Radzieckiego. Nie wiedziała tego, że aby ona mogła spokojnie, radośnie i w dobrobycie żyć i pracować, ja szedłem w krwawą paszczę burżuazyjnego zwierza. Lecz jestem z tego tylko dumny. Rozumiem, że przyniosłem do Polski, dla moich uciemnionych przez panów braci i siostr, światło nieznanego im wolności i naszą wielką, jedyną na świecie, prawdziwą, sowiecką kulturę. Właśnie o to chodzi, o kulturę, psiakrew! Niech się przekonają, że bez panów i kapitalistów staną się wolnymi, szczęśliwymi ludźmi i budowniczymi wspólnej, socjalistycznej ojczyzny proletariatu. Niech odetchną wolnością! Niech zobaczą nasze, osiągnięcia! Niech zrozumieją, że tylko Rosja, wielka MATKA ludów uciemnionych, może wybawić ludzkość od głodu, niewoli i wyzysku! Tak.

Dopiero po siedmiu kilometrach od granicy spotkał nas zwierzęcy opór krwawych kapitalistów. Zapewne ktoś ze strażnicy polskiej zdołał uciec, wykorzystując ciemność, i powiadomił burżuazję, że idzie niezwyciężona armia proletariatu. Ktoś krzyknął do nas coś w sobaczym polskim języku. Nie zrozumiałem co, tylko odpowiedziałem głośno i groźnie, aż echo poszło lasem:

- Poddaj się, faszysto, bo zniszczymy!

Przed nami zadudniło tylko. Więc my po krzakach, po rowach, jak wojskowa taktyka nakazuje - osłony szukać. Potem podciągnęliśmy maszynki i dawaj sypać po nich seriami. Tylko las jęczał. Ze dwie godziny tak biliśmy z kulomiotów. Nikt nie odezwał się. Ale zawsze trzeba ostrożnie. Wróg chytry, może zaczął się i czeka.

Tymczasem rozwidniło się. Patrzymy, na drodze przed nami naładowany sianem wóz stoi, a przy nim zabity koń leży. Więcej nikogo... Wtedy ruszyliśmy ostrożnie naprzód, aby w zasadzkę nie trafić. Ale wszystko skończyło się szczęśliwie. Widocznie wróg zrozumiał z jaką potęgą ma do czynienia i haniebnie uciekł.

Takim to sposobem ja, młodszy lejtnant niezwyciężonej Armii Czerwonej, wkroczyłem na czele mego plutonu do burżuazyjnej Polski. A stało się to nocą 17 września 1939 roku. Hura! hura! hura!

Zapiski te zaczynam w mieście Wilniusie. Piszę je na chwałę naszej potężnej Armii Czerwonej i - przede wszystkim - jej WIELKIEGO wodza, towarzysza Stalina. Jemu też, naturalnie, zadedykowałem je. Rozumiem dobrze, że pióro moje jest bezsilne, gdy chce opisać wielkiego naszego wodza i moją miłość dla niego. Na to trzeba pióra Puszkina lub Majakowskiego. Ja zaś mogę tylko dokładnie zanotować to, co widzę i słyszę w tych wielkich, historycznych dniach, które wyzwoliły kilka uciśnionych narodów z kapitalistycznej niewoli.

Gdy myślę o naszym wielkim WODZU i NAUCZYCIELU, to czuję, że do oczu mi napływają łzy. Kim by ja był bez niego? Carskim niewolnikiem, gnębionym i eksploatowanym nieludzką. A teraz ja, którego ojciec był zwykłym robotnikiem, jestem oficerem. Mam zaszczyt należeć do komsomołu. Ukończyłem dziesięciolatkę. Umiem czytać i pisać prawie bez omyłek. Potrafię też rozmawiać telefonicznie. Znam poligramotę. Jem codziennie prawdziwy chleb. Chodzę w butach ze skóry. Jestem człowiekiem oświeconym i kulturalnym. Poza tym, korzystam z największych wolności, jakie może mieć człowiek na ziemi. Wolno mi nawet nazywać GO - naszego wodza - towarzyszem. Pomyślcie sobie tylko uczciwie: ja mam prawo swobodnie i wszędzie nazywać GO towarzyszem! Towarzysz Stalin! TOWARZYSZ STALIN!... Otóż to jest moją największą dumą i radością!... Czy może obywatel państwa kapitalistycznego nazwać swego prezydenta lub króla towarzyszem? Nigdy! Chyba tylko inny krwiożerczy prezydent, albo zezwierzęcony król. A ja... Czuję, że łzy radości i dumy napływają mi do oczu... Muszę przerwać pisanie i zapalić, bo nie wytrzymam nadmiaru szczęścia i serce mi pęknie.

**23 września, 1939 roku. Wilnius.**

Jestem obecnie w Wilniusie. Skierowano nas tu z Mołodeczna. Przyjechaliśmy pociągiem, bo nasi tankiści wyprzedzili piechotę i pierwsi zajęli miasto. Lecz uważam, że nieprzyjaciela zwyciężyliśmy właśnie my - piechota ze mną na czele, bo pierwsi przekroczyliśmy granicę i napędzili takiego strachu panom, że tylko piętami błysnęli.

Batalion nasz stoi w koszarach przy ulicy Wilkomierskiej. Nam, oficerom, Komendantura dała pozwolenie na zamieszkanie prywatnie w pobliżu koszar. Ja się ulokowałem przy ulicy Kalwaryjskiej w domu numer cztery. Przyszedłem tam wczoraj rano z „orderem” z Komendantury i pytam o prezesa Domkomu. A mnie powiedzieli, że żadnego domowego komitetu u nich nie ma i nie było. Splunąłem ja:



- Też porządki! Jakżeście tu żyli? Powiadają:

- Normalnie. A sprawy meldunkowe załatwiał dozorca domu.

Poszedłem ja do dozorczy. Pokazali mi jego suterенę. Schodzę ja w dół i tak sobie myślę: „Nareszcie zobaczę chociaż jednego eksploatowanego proletariusza”. Ale gdzie tam! Widzę ja w dużym pokoju siedzi tłusty, pięknie ubrany pan. Ja tylko na nogi jego spojrzałem i od razu zobaczyłem: buty z cholewami! A on nic. Siedzi i kawę pije. Na stole prawdziwy chleb leży i cukier w bańce stoi. Nawet kielbasę na talerzu zauważyłem. Wielka mnie złość ogarnęła, że taki kapitalista dozorcę udaje. Ale nic nie powiedziałem, tylko tak sobie pomyślałem: „Przyjdzie i na ciebie czas! Skończy się twoje kielbasiane życie i o butach też zapomnisz!” Tymczasem mówię:

- Dzień dobry!

- Dzień dobry! - powiedział i na krzesło ręką pokazał. - Siadajcie - dodał.

Usiadłem ja i jemu „order” z Komendantury na stole kładę.

- To - mówię - dotyczy mieszkania dla mnie w tym domu. Wziął on papierek do ręki. Okulary na nos wsadził. Popatrzył na papier i tak, i owak. A potem gada:

- Ja po rosyjsku mówić umiem, ale liter waszych nie znam. Sami mnie przeczytajcie, co tam stoi.

Przeczytałem ja jemu. A on powiada;

- Mieszkań wolnych mam aż trzy. Pięć pokojów i kuchnia. To jedno. A dwa są po trzy pokoje z kuchnią. Bierzcie które chcecie.

Ale ja jemu mówię, że mnie tylko jeden pokój potrzebny. Lecz chciałbym u uczciwych ludzi zamieszkać, żeby nie okradli. A za pokój będzie płacić Komendantura według „normy”.

On zastanowił się i mówi:

- Chyba najlepiej wam będzie u nauczycielek. Kobiety spokojne, na emeryturze. Chcą wydać dwa pokoje, ale możecie wziąć jeden.

To mi się podobało. Zawsze kobiety są mniej niebezpieczne. Może nie napadną niespodzianie, nie *zarzną*. Muszą być trochę kulturalniejszym elementem. Poszliśmy razem do nauczycielek. Wszystkie były w domu. Jedna z nich dobrze po rosyjsku mówi.

- Chętnie - powiada - was na mieszkanie wezmę. Dla nas za drogie. A tak to nam komorne obniżą.

- A gdzie gospodarz? - pytam. - Pewnie z innymi kapitalistami uciekł.

- Tu gospodarza nie ma. Dom magistracki. Był rządca, ale powołali go do wojska. Na niemiecki front poszedł. A komorne zawsze wplacamy do magistrackiej kasy.

Pokazują mnie one swoje pokoje. Nigdy w życiu ja takiej rozkoszy nie widziałem. Po prostu rozpusta! Dywany nawet na podłodze leżą. I kwiaty różne. I żywy ptaszek, podobny do wróbla, ale żółty całkiem, w klatce poświstuje. I rozmaite tam, stoły, stoliki, półki, półeczki, szafy, szafeczki, krzesła, fotele... Takie tam *rzeczy* są, że czort wie jak je i nazwać! Ale nic. Udaję, że to wszystko wcale mnie nie dziwi i że nie rozumiem tego, iż do kapitalistycznej jaskini eksploatatorów ludu pracującego trafiłem. W samo gniazdo burżujskich zmij.

Okazało się, że te trzy baby w trzech pokojach mieszkały! Nauczycielki!!!... Ale nic, sowiecka władza je rozszyfruje. I „dozorcę” tego tak samo. Niech zaczekają troszkę. Dla wszystkich znajdzie się odpowiednie miejsce.

Umówiłem się ja z „nauczycielkami”, że wieczorem wprowadzę się. Oddały mi narożny pokój z balkonem. Zapytały, czy dużo mam rzeczy? Ale rzekłem im: „Jakie oficer bojowy może mieć rzeczy? Nic nie mam. To przecież wojna”. Powiedziały, że dadzą mi pościel. Zgodziłem się na to, ale pomyślałem sobie: na jakiego czorta to mi jest potrzebne?

Pozegnaliśmy się bardzo spokojnie i kulturalnie, i poszedłem ja miasto oglądać. Idę ja ulicami i widzę, że w prawdziwą burżujską jaskinię trafiłem. Publika na ulicach ubrana jak na bal. Każdy w skórzanych trzewikach, a niekiedy to nawet i w butach. Krawaty i kołnierzyki też u wielu zauważyłem. I prawie wszyscy są w kapeluszach. Ot pasożyty!... A najdziwniejsze to są kobiety. Włosy każda ma uczesane jak aktorka filmowa. Na nogach cienkie półczochy, pewnie w Paryżu

kupowane, gładkie, brązowe. Sukienki lekkie, kolorowe... jak kwiaty. W życiu swoim takich nie widziałem. Pięknie burżujskie ścierwo poubierane. Ja tak sobie idę i tak sobie myślę: „Chyba tu z całej Polski kapitaliści z żonami i córkami zjechali się? Takie bogactwa!”

Trochę mnie nawet strasznie zrobiło się. Tyle tych krwiopijców dookoła szwenda się! Ale widzę, że i naszych chłopaków jest sporo. Chodzą ulicami i też fason trzymają. Każdy naperfumowany tak, że z daleka czuć. Niech burżuje przekonają się, jaka u nas kultura! Szkoda, że i ja nie naperfumowałem się. Nie było czasu. Innym razem.

W jednym miejscu patrzę ja - piekarnia. W oknie sklepu chleb i bułki zauważyłem. Nawet ciastka były. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem. Myślę sobie, albo to jest burżujską propagandą, albo specjalny sklep polskiego „Inturistu”. Stałem ja przy oknie i obserwuję. Ludzie wchodzi, kupują, wychodzą. A ja tylko staram się zauważyć, czy specjalne stachanowskie „bony” mają czy zwykłe kartki? Ale trudno było to zrozumieć. Myślę ja sobie: „Spróbuję i ja. A nuż sprzedadzą?” Wchodzę ja do środka, odkaszlnąłem i mówię, niby spokojnie:

- Proszę mi odważyć pół kilograma chleba. Panienska, ładna taka i cycata, pyta:

- Jakiego?

Ja palcem pokazałem na najbielszy... jak bułka. I nic. Odważyła, nawet w papierek zawinęła i podaje mnie.

- Proszę pana - powiedziała.

Ja aż zdrętwiałem: panem mnie nazwała! Nie rozeznała się. Chyba tylko dlatego i chleb mi sprzedała. A może ślepawa trochę. Pytam:

- Wiele płacę? Mówi:

- Dziesięć groszy.

Dałem jej rubla, a ona mi całą kupę pańskich, kapitalistycznych pieniędzy reszty wydała. I o żadne „bony”, kwity czy „ordery” nie pytała nawet.

Wyszedłem ja ze sklepu. Chleb ciepły, biały, aż pachnie. Chciałem od razu zjeść, ale spostrzegłem, że na ulicy nikt nie je, tylko nasze chłopaki chodzą i pestki słonecznikowe gryzą. Wsadziłem ja chleb do kieszeni. Szkoda - myślę - że kilograma nie poprosiłem. Może by sprzedała. A sam liczę: toż wychodzi, że za naszego rubla mógłbym pięć kilo chleba kupić! Słodko żyło się burżujom, w tej dawnej Polsce, na krzywdzie roboczego narodu!

Idę ja dalej i widzę - znów piekarnia. Ludzie wchodzi, wychodzą, każdy coś tam kupuje. Więc i ja się wzięłem na odwagę i jazda do środka. Tym razem już o kilo chleba poprosiłem. Palcem też na biały pokazałem. I nic: odważyli, wzięli dwadzieścia groszy i chleb mi podali. Szkoda - myślę - że dwóch kilogramów nie poprosiłem. Może by też sprzedali? Ale kto wie? Lecz trochę dalej znów piekarnię dostrzegłem. Więc szoruję ja do środka i mówię... jakby całkiem nawet spokojnie i obojętnie:

- Poproszę o dwa kilogramy białego chleba.

A kapitalista, który chleb sprzedawał (nawet kołnierzyka i krawata nie zdjął, żeby klasowe pochodzenie ukryć) spytał:

- Może cały bochenek weźmiecie? Trzy kilo waży.

- Dawaj! - powiedziałem.

Zapłaciłem ja 60 groszy, zabrałem chleb i wychodzę na ulicę. Idę ja i tak sobie rachuję: toż ja za dziewięćdziesiąt groszy, to *znaczy* mniej jak za rubla, kupiłem cztery i pół kilograma chleba i nawet w kolejce nie stałem. Nie mogę ja tego zrozumieć. Nie inaczej: kapitalistyczna propaganda. Tę sprawę będę ja musiał wyjaśnić.

Ponieważ niewygodnie było mi z chlebem po mieście łązić, poszedłem ja do koszar. Tam ruch wielki. Chłopaków pełno. Niektórzy z miasta poprzychodzili i cuda o głupocie polskich panów opowiadają. Okazało się, że tu nie tylko chleba, ale i słoniny, i kiełbasy można kupić ile kto chce.

Niektórzy mówią, że tu zawsze tak było. Nie mogę ja w to uwierzyć. Rzecz jasna, że jeśli sprzedawać ile kto chce, to kilku wykupi wszystko, inni zaś będą z głodu zdychać.

Wieczorem wprowadziłem się ja do swego pokoju. Nauczycielka (ta co po rosyjsku mówi) drzwi mnie otworzyła i pokój pokazała.

- Możecie być pewni, że tu czysto - powiedziała. - A myć się można w łazience.

Zaprowadziła mnie do pokoju obok kuchni. Tam jest piękna umywalka i duża wanna. Popatrzyłem ja na to wszystko i tak sobie pomyślałem: „Zabić by ciebie trzeba na miejscu za to wszystko! Iluż naszych braci, chłopów i robotników, z głodu pozdychało, abyś ty, pasożytko, mogła w takiej wannie rozkoszować się!” Lecz nie powiedziałem jej tego. A ona trajkocze, krany kręci i pokazuje mnie, jak to działa. To ja jej wtedy powiedziałem:

- W porządku. Karabin maszynowy więcej ma chytrósci i to dajemy sobie radę. A wasza wanna to głupstwo!

Poszedłem ja do swego, pokoju i oglądam wszystko. Ale chodzić było niewygodnie, bo dywany przeszkadzają. Wyszedłem ja na balkon. A tam pełno kwiatów w donicach. Patrzą ja na miasto. Wieczór się zrobił. Słyszę nasi bojcy „Katuszę” śpiewają. To i ja za nimi podciągnąłem. A potem jak zaświstałem, to tak mi smutno zrobiło się. I Duniaszka się przypomniała. Jaka była taka była, ale zawsze baba i swoją przyjemność z nią miałem. Postanowiłem, że list do niej napiszę. Poszedłem ja do pokoju, światło zapaliłem i do mojej sympatii takie oto pismo wyszykowałem:

**23 września, 1939 roku. Miasto Wilnius.**

*„Najukochańsza Duniaszka!*

*Piszę do ciebie ten list z samego centrum polskiej, burżuazyjnej jaskini. Potężnym ciosem naszej żelaznej, czerwonej pięści zmiażdżyliśmy polskich, faszystowsko-kapitalistycznych generalów i wyzwoliliśmy z ucisku burżuazyjnego, jęczący w szponach tyranów polski, robotniczo-włościański naród i wszystkie inne narodowości, nielitościwie gnębione i eksploatowane przez krwiożerczych panów.*

*Ja poszedłem na czele całej Armii Czerwonej i biłem faszystów i ich pacholków dopóki nie uciekli w popłochu. Mieszkam ja w pięknym domu, którego właściciel-kapitalista uciekł. Tutejsze burżujki naznosiły mi kwiatów i zasłały cały pokój dywanami. A to wszystko ze strachu. Codziennie pływam w wannie. Wanna to są duże niecki, zrobione z żelaza, do których nalewa się wody i cały człowiek, nawet z nogami, może w nich się zmieścić.*

*Możesz być dumna ze swego Miszki, który, hardo krocząc pod sztandarem Lenina-Stalina, zmiotł na wieki, zwierzęcy opór polskich zaborców i wyzwolił wszystkie, jęczące w kajdanach, narody.*

*Pisać do mnie możesz na Wilnius, bo pewnie przez jakiś czas tu jeszcze będziemy. Dokładny mój adres jest na kopercie. Ściskam mocno twoją dłoń i łączę komsomolskie pozdrowienie.*

*Lejtnant bohaterskiej Armii Czerwonej,  
Michaił Zubow”.*

Skończyłem ja list, zdjąłem buty, żeby za dywan nie czepiać się, i spaceruję sobie. „Trzech tankistów” nagwizduję. Aż tu słyszę, ktoś do drzwi puka.

- Wejść - powiedziałem.

Do pokoju weszła dziewczynka lat dziesięciu. Sprytna taka. Widać od razu: burżujskie nasienie. Oczy po kątach latają. Pewnie na przespjegi ją przysłali, żeby zobaczyła, co ja robię.

- Mamusia - powiada - na herbatę was prosi.

Myślę ja sobie: iść, nie iść? Ale poszedłem. Byłem ciekaw zobaczyć, jak burżujki herbatę piją. Otóż przychodzę ja do ich stołowego pokoju. Widzę, biały obrus na stole leży, a na nim pełno różnych drogocennych naczyń. Ser na talerzu położony, mleko w dzbanku, wędlina jakaś, cukier w cukiernicy. Tylko chleba było mało. Więc ja powiedziałem: „Zaczekajcie chwileczkę”. I

wyszędłem. Wróciłem do swego pokoju i myślę: „Czy kilo chleba wziąć, czy cały bochenek?” Ale może dużo zeżrą? I mnie też jeść się zachciało. Wziąłem ja duży bochenek, przyniosłem do nich i położyłem na stole. „To - powiedziałem - do wspólnego użytku”.

- Ale na co to? - mówi jedna. - Chleba u nas dużo, tylko nie krajamy wszystkiego, żeby nie sechł.

- Nic - powiedziałem. - Proszę się nie krępować i jeść ile tylko która chce. Mnie stać na to, żeby i dwa takie bochenki kupić!

Popatrzyły one po sobie. Widocznie zadziwiająca była moja hojność. Herbaty mnie nalały... No, nic, rozmawiamy. Ta, co rosyjskim dobrze włada (Maria Aleksandrowna się nazywa), częstuje mnie: „Proszę sera! Proszę wędliny! A czemu masła na chleb nie smarujecie?”

- Gdzie masło? - spytałem.

Podsunięła ona mnie taki specjalny spodek z przykrywką, a w nim coś żółtego jak wosk. Więc ja powiedziałem:

- A, tak to i jest masło! Mnie mama opowiadała, że kiedyś u nich też z mleka masło robili. Zacząłem ja to ich masło na chleb smarować. Ale niewygodnie. Wałkuje się tylko. To trzeba by łyżką jeść a nie smarować. Wtedy ja sobie kawałek wędliny wziąłem. Ale cienko burzujki nakrajały. Widać, że skąpe są.

No, nic. Rozmawiamy. Pytam ja je, jak która się nazywa? Więc Maria Aleksandrowna na jedną pokazuje i mówi: „Pani Zofia”. A druga okazała się panią Stefanią.

- A jak mała się nazywa? - spytałem.

- Andzia.

- Czemu nie pani Andzia?

- Bo dzieci u nas się woła tylko po imieniu. Gdy dorośnie, to będzie panna Andzia.

„Naturalnie - pomyślałem - dopiero ją muszą na faszystkę i wroga ludu pracującego wyuczyć. Też dobrą gadzinę by z niej zrobili, jeśli by nie nasza radziecka władza przyszła! Teraz skończą się te pańskie sztuczki!”

No, nic. Siedzimy sobie i rozmawiamy dość kulturalnie, to o pogodzie, to o urodzaju. Widzę, że i ja ich sobaczy język trochę rozumiem. A czego nie zrozumiem, to mi zaraz Maria Aleksandrowna tłumaczy. I wszystko byłoby dobrze, ale jedna z nich (ta starsza, pani Zofia), mówi do mnie łamanym rosyjskim językiem:

- Panie lejtnancie, czy długo będziecie u nas w Wilnie?

Bardzo mi to pytanie nie podobało się. Od razu zrozumiałem, że chciała sprytnym sposobem, od czerwonego oficera, strategicznych zamiarów wyższego dowództwa dowiedzieć się. Ale ja w lot ją rozgryzłem. Znamy się na faszystowskich wybiegach! Więc odpowiedziałem bardzo grzecznie i spokojnie, chociaż, właściwie, w mordę z miejsca bić należało się:

- Ile nam będzie chciało się, tyle tu i będziemy. A ona znów:

- Panie lejtnancie, czy podoba się panu nasze Wilno?

Zgrzytnąłem ja zębami. Kpi, cholera, ze mnie, czerwonego oficera i uczciwego bolszewika. Drugi raz już mnie „panem” nazwała. Ale zacisnąłem ja pod stołem pięści i staram się wytrzymać.

- Po pierwsze - powiadam - nie Wilno, lecz Vilnius. Ot co. Po drugie: nie wasze, ale nasze. Po trzecie: nie podoba mi się wcale, bo żadnej kultury nie ma. Nawet na dworcu woszebijki nie zauważyłem. Cóż to za życie! Cóż to za higiena! Cóż to za kultura!

Tu wtrąciła się Maria Aleksandrowna i mówi tak czysto po rosyjsku... bardzo to jest podejrzone i trzeba będzie o tym do NKWD zameldować. Więc powiada:

- Woszebijek u nas istotnie nie ma. Ale to dlatego, że wszy nie mamy. Więc po co woszebijki!

Same wy wszy jesteście - pomyślałem i powiadam:

- Woszebijki są potrzebne jako urządzenia sanitarne i higieniczne. Myszy też może nie być, a ot, kotów u was wszędzie mnóstwo. Ot co.

A tamta pierwsza (pani Zofia) znów do mnie zwraca się i widzę ja, morda chytra, chytra, chytra!

- Panie lejtnancie...

Ale ja tym razem dokończyć jej nie dałem. Rzuciłem nóż na stół i ryknąłem:

- Stul pysk, stara małpo! Żaden ja ci pan nie jestem, lecz obrońca proletariatu! Jestem od tego właśnie, żeby taką zarzę faszystowską jak ty niszczyć! Rozumiesz?! A jak nie rozumiesz, to ja ci zaraz to ręcznie wytłumaczę!

Jak machnę ja pięścią w stół, tak szklanki po nim i zaskakały. Dziewczynka płakać zaczęła. A Maria Aleksandrowna błaga mnie i omal też nie płacze.

- Michaile Nikołajewiczu - powiada. - Nie gniewajcie się. U nas do każdego mówi się pan. Nawet do żebraka. To tak samo jak we Francji „monsieur”, albo w Anglii „mister”.

Ale ja nie dałem się ułagodzić takim chamkom.

- Zaczekajcie trochę - powiedziałem. - Zrobimy porządek i z panami, i z musjami, i z mistrzami! Na wszystkich czas przyjdzie i dla każdego odpowiednie miejsce się znajdzie! A mnie, uczciwemu człowiekowi, w waszym pańskim towarzystwie siedzieć i herbatę spijać nie wypada! Do widzenia!

Wstałem ja. Naturalnie: splunąłem. I dumnie wyszedłem. Nawet chleba swego ze stołu nie zabrałem. Niech uduszą się nim podłe faszystki! Poszedłem ja spać. Łóżko, widzę, wysoko nasłane. Kołdra duża, lekka, miękka, w białą powłokę wsunięta. A na powłoce tej różne tam kwiatki, listki i motylki powyszywane. Dwie poduszki są... też w powłóczkach z kwiatami. No i prześcieradło. A wszystko to takie białe, jakby białą farbą pomalowane. Ja nawet palec pośliniłem i spróbowałem, czy maże? Wlazłem ja w to ich łóżko i cały w nim utonąłem. Tylko nos na wierzchu. Kręciłem się ja, kręciłem i nic, sen nie bierze. Nie dla mnie, porządnego bolszewika, takie burżujskie wynalazki! Jak oni w takim czymś z babami śpią?...

Wylazłem ja z łóżka, poduszkę pod ścianą położyłem, kołdrą owinąłem się i w dwa momenty usnąłem.

Rano wstaję. Widzę - słońce świeci. Pięknie.

Wyszedłem ja na balkon. Duży kawał miasta widać i rzeka też płynie... Westchnąłem ja: cudnie!... Niebo błękitne, błękitne, błękitne... Ot, myślę ja sobie, uszyłbym ja z takiego błękitu dla siebie koszulę, a dla Duni spódnice.

## Wincenty Pol

### Pieśń o ziemi naszej (fragment)

Tam na północ! hen, daleko!  
Szumią puszcze ponad rzeką,  
Tam świat inny, lud odmienny,  
Kraj zapadły, równy, senny,  
Często mszysty i piaszczysty,  
Puszcze czarne, zboża marne,  
Nieba bledsze, trawy rzedsze,  
Rojsty grząskie, groble wąskie,  
Ryby, grzyby i wędliny;  
Lny dorodne, huk zwierzyny  
I kęs chleba w czoła pocie. -  
A na pański stół łakocie:  
Lipce stare, łosie chrapy  
I niedźwiedzie łapy.  
Puszcz i żubrów to kraina,

A dziedzictwo Giedymina! -  
Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,  
Po pasiekach kraj przeziera,  
Wół za rogi orze zgliszcze,  
W ostrym zwirze socha świszczce,  
A za drogą, gdzieś w postronne,  
Ciągną wózki jednokonne.  
Koń obłączny w wózkach małych,  
Lud w chodakach z łyku szytych,  
W chatach dymem ogorzałych,  
Dranicami płasko krytych.

Gdy na lud ten człek spoziera,  
To aż serce żal opłynie  
I zapytać chęć go zbiera:

Co ci ta, Litwinie? -  
 Ale Litwin nie wygada!  
 Bo w tej duszy hart nie lada!  
 Lud to cichy, rzewny, skryty,  
 Jak to mówią: kuty, bity.  
 Kiedy szczery, jak wosk topnie;  
 Ale gdy go kto zahaczy:  
 To i w grobie nie przebaczy  
 I na końcu swego dopnie! -

Choć kraj jego niebogaty,  
 Radzi sobie, bo oszczędny;  
 Nie marnuje grosz na szaty,  
 Bo rozsądny i oględny.  
 Nie zwykł on się kochać w krasie,  
 Ale myśli o zapasie  
 I dobytek w dom gromadzi,  
 I o jutrze wiecznie radzi.  
 Toteż znajdziesz w każdej porze  
 W bród wszystkiego, jak w komorze:  
 Czy w krajance, czy w gomółce,  
 Jest w serniku ser na półce.  
 Wiszą kumpie i wędliny,  
 I półgęski, i szwininy;  
 Obok w długich żerdziach ryby;  
 Z siatki pachną leśne grzyby.  
 A kwas czysty miasto wody;  
 W lochu stoją białe miody,  
 Wódki starki i nalewki,  
 I rok cały lód przeleży. -  
 A już w świrnie wiszą wianki  
 I rozliczne przyodziewki;  
 Płótna cienkie, jasne tkanki  
 I przybory do odzieży.  
 W kubli stoi ów miód święty,  
 A dokoła włók rozpięty...

Nucąc pieśni o Birucie,  
 O Perkunie i Kiejstucie,  
 Przy łuczywie u komina  
 Przędzie miękkie len drużyna;  
 A w pobliżu dziatwy zdrowej  
 Toczy kołem wąż domowy.  
 Krosna stoją w małym oknie  
 I członko pływa w włóknie;  
 Pieśni płyną, jak uroda,  
 A wiek schodzi niby woda...

Niby w ciężkim zadumaniu  
 O przeszłości czy kochaniu,  
 Stoją niemo czarne puszcze;  
 I rozlały się jeziora...

A po toniach ryba pluszcze,  
 A na niebie stoi gora:  
 Puszcze płoną gdzieś z daleka  
 I w zaścianku pies gdzieś szczeka,  
 A za głosem z tokowiska,  
 Czesze gęstwą leśnik śmiały,  
 Przez jelniki i zawały,  
 Do rodziny i ogniska.

Staął - słucha - tam dzik ryje,  
 Uroczykiem łoś pomyka,  
 Padła wietrząc wilk gdzieś wyje,  
 A puszciami żubr poryka...

„Da! niech ryje, niechaj wyje,  
 Niech pomyka, niech poryka,  
 Na strzał padnie mi przed psami,  
 Com dziś jeszcze nie zastrzelił,  
 Byle tylko się barciami  
 Niedźwiedź ze mną nie podzielił...”

Jak lud żyje po bożemu,  
 Tak i szlachta z sobą wzajem  
 Dawnym żyje obyczajem;  
 Na zaściankach po staremu  
 Czas jej duszy nie wykrzywił,  
 Nikt cię państwem nie oparzy,  
 A gdy w Litwie pan się zdarzy,  
 To pan sobie, jak Radziwiłł!

Bracia szlachta powietnicy,  
 Leśnych włości współdziedzicy,  
 W niebielonych siedzą dworach;  
 Tam to kolej do sąsiada  
 I z wielebnym ojcem rada:  
 O sejmikach, o wyborach,  
 Jaka komu padnie gałka,  
 Kogo wymieść na marszałka?

Wówczas z cicha to wybije,  
 Co się w głębi serca kryje;  
 A gdy w puszczy pociemnieje  
 I miód stary pierś rozgrzeje:  
 To przybędzie i czułości,  
 Wówczas żywiej i myśl płonie,  
 A więc radzą o Koronie,  
 O statucie i przyszłości;  
 Lub pociesznie drwią z Pinczuka  
 I z Żmudzina jak z nieuka.  
 Lud tam jeszcze nie zmiészany,  
 Wszystko jeszcze jest gniazdowe;  
 Jak te drogi powiatowe

Każdy swój i każdy znany.  
 Więc też każdy wie, co niesie,  
 A choć drugim nie pomiecie  
 Hardy strzelec w swoim lesie,  
 A brat szlachcic w swym powiecie.  
 I choć poznać nie da skoro,  
 Że o sobie wiele sądzi,  
 Choć w cichości i z pokorą  
 Ufa twardo, że nie zblądzi,  
 Bo dokoła się ogląda  
 I wie dobrze, czego żąda;  
 A stąd bywa hart w naradzie -  
 „Litwin mądry nie po szkodzie”;  
 I w tym głównie, głównie pono  
 Góra Litwy nad Koroną...  
 Lud nie darmo ta myśliwy  
 I skąpany w jezior łonie!  
 Bo głęboki jak wód tonie,  
 A jak łono puszczy, stróżliwy!  
 W puszczy też go widzieć warto,  
 Z strzelbą w ręku lub na łodzi;  
 Jak mu lekko i otwarto,  
 Jak strzał trafia, wiosło chodzi,  
 Jak zna dobrze wagę zwierza,  
 Wszystkie knieje i ostępy;  
 Kędy jaka rzeka zmierza,  
 Gdzie mielizny, rappy, kępy!  
 Toteż wodą czy na ledzie  
 Całą Litwą się przewiedzie.  
 Póki taje, jechać zdradno;  
 Lecz gdy w puszczech przyschną brody  
 Gdy rzekami kry opadną  
 I powtórne niskie wody:  
 Łądem, wodą, jadą, płyną,  
 Telegami i wiciną,  
 Do Mitawy, do Lipawy,  
 A Wiliją, Niemnem, Dźwiną  
 I do Tylży, i do Rygi,  
 Z kupią swoją na wyścigi.

Stamtąd Niemce i najemce  
 Za dalekie pławią morza,  
 Maszty; klepki, runo owiec  
 I niejedną beczkę zboża,  
 I niejednen lnu bierkowiec;  
 Litewskimi sycąc płody;  
 Zamorskiego ludu głody...

Jak za morzem Litwa spławna  
 Z puszczy odwiecznych w świecie sławna;  
 Tak o miedzę ziemia chlebna  
 Głodnym ludom jest potrzebna,  
 Żmudź to święta! Ziemia boża!  
 Na pół leśne jej obszary,  
 A na poły strojne w zboża;  
 Wolny oddech ma do morza  
 I wszystkiego ma do pary:  
 Bo lud wierny w ziemi zyznej  
 I nieskąpo tej ojczyzny!  
 Od tych prądów świętej rzeki  
 Aż po morza brzeg daleki  
 I Łotyszów płone ziemie  
 Siadło twarde żmudzkie plewie.

Tam nie błyszczą pyszne gmachy,  
 Ale za to duże chaty  
 I wysokie dobre dachy,  
 Lud dorodny i bogaty.  
 Ponad drogą krzyżów pełno  
 I kapliczek tuż przy domu:  
 Lud odziany szarą wełną,  
 Pełen serca, pełen sromu  
 I zażywny, i niemarny,  
 Pracowity, gospodarny  
 I poważny, i nabożny;  
 Jednej krwi z tym swoim panem,  
 Jednej wiary z tym kapłanem.

Pan nie bywa tam wielmożny,  
 Nierozrzutny, ani butny:  
 A ksiądz biskup Boga sławi,  
 Do dobrego wiedzie ludzi  
 I jak ojciec błogosławi  
 Na odpuście „świętej Żmudzi!”  
 Lud tam żyje po zakonie,  
 A więc zda się zimny zrazu;  
 Lecz gdy serce zawre w łonie,  
 Nie usłyszysz z ust wyrazu;  
 Lecz łza tryśnie na wpół rzewna,  
 Na wpół krwawa, na wpół gniewna,  
 Piersi jękną z tajnej głębi,  
 Zamiar padnie, niby w studnie,  
 Lecz czas krwi tej nie wyziębi,  
 Dusza jego nie wychłódnie  
 I wypływie na jaw w czynie!

Jan Słomka

## Pamiętniki włościanina (fragmenty)

### Pijaństwo na zabawach i przy różnych okolicznościach.

Wódki pili wtedy trzy razy więcej niż obecnie; była tania, bo kwarta okowity kosztowała tylko 24 grajcary i można było dolać do niej więcej, niż drugie tyle wody, a była jeszcze mocniejsza, niż dzisiejsza okowita. Piwa na razie pili bardzo mało, dopiero z czasem wchodziło ono coraz więcej w używanie, a poza tem innych trunków nie było, chyba tylko w domach pańskich.

Tak wódkę, jak piwo brali najczęściej w Tarnobrzegu z propinacji, dzierzawionej przez żydów od skarbu dzikowskiego. Jeżeli jednak w innym państwie, u innego propinatora, n. p. w Mokrzychowie lub w Machowie, były kiedy trunki tańsze albo lepsze, to tam je kupowali na wesela, chrzciny, na żniwa, — na swoją bowiem potrzebę wolno było kupować, gdzie się komu podobało.

Mieli też wówczas ludzie więcej okazji do picia, niż obecnie, i żadnej zabawy nie rozumieli bez wódki i picia. Kto był na zabawie, musiał równocześnie pić, a jak kto się upił, to mówili, »że się ubawił«, i nie mieli mu tego bynajmniej za złe. Dawali wódkę nawet małym dzieciom, zwłaszcza na zabawach, »żeby i one zabawę pamiętały« i całkiem nie zważali na to, że dziecku szkodzi to jeszcze bardziej, niż starszemu.

Wódka odchodziła, jak pisałem, na chrzcinach, zmówinach, rękowinach, różgowinach i w czasie całego wesela; odchodziła też i na pogrzebach, przed wyprowadzeniem umarłego i po pogrzebie na t. zw. »konselacji« czyli stypie. Do tego, jak wspomniałem, w niedziele i święta grały po karczmach i szynkach muzyki, przy czym także wódki nie brakło; nadto sąsiedzi i kumowie częściej się wówczas z sobą schodzili, niż obecnie, w domu lub w mieście, i także traktowali się wódką. Odchodziła też na jarmarkach.

W niektórych wsiach był zwyczaj, że chłopci zaraz po wymłóceniu zboża nosili je do karczmy na wódkę.

Każdy niósł je w torbie z łyka lipowego pod kamizielą. Kamizielę wdziewał wtedy tylko jednym rękawem, drugi zaś spadał wolno po ramieniu, na którym torba wisiała. Ramię obciążone torbą nachylało się ku ziemi.

Gospodarz szedł przez wieś dumnie, (każdy wiedział, co pod kamizielą niesie), a gdy wszedł do karczmy, był witany przyjaźnie przez obecnych tam i zboże składał żydowi. Za to pił zaraz i częstował drugich, a ci znowu innym razem odwzajemniali się.

Uchodziło to za honor, nieść w ten sposób zboże do karczmy i nawet w modę to weszło, że chłopci jedno ramię trzymali zawsze niżej, (jakby obciążone torbą). Taką postać przedstawiają dotychczas najstarsi chłopci, którzy nosili zboże do karczmy.

Wogóle, gdzie pijaństwo szczególnie kwitło, nosili wódkę z karczmy we flaszkach na wierzchu, nie ukrywając się z tem, ale owszem przekazując, że będą pić i mają pić za co. Gdzie pijaństwo było mniejsze, czynili to skrycie. Flaszki z wódką chowali pod wierzchnie ubranie, a kobiety pod zapaskę. Chyba, że wódka była dla żniwiarzy lub na zabawę (nie do codziennego użytku), wtedy się z nią nie kryli.

Jak wódka niejednego upadła, przytoczę jeden z wielu wypadków. Raz, gdy już byłem wójtem, zaszedł do mnie w nocy gospodarz z Dzikowa z zawiadomieniem, że pod Zwierzyńcem na granicy Dzikowa coś się szamoce i stęka, że prawdopodobnie wpadł tam jakiś człowiek. Była to już późna jesień i zimna panowały przejmujące, zachodziła obawa, że nieszczęśliwy może skostnieć, — wstałem więc z łóżka, wezwałem wartnika i skierowaliśmy się na wskazane miejsce.

Gdyśmy tam przybyli, oczom naszym przy świetle zapalanej słomy przedstawił się taki obraz:



W głębokim rowie przydrożnym siedział chłop skulony, powalany w błocie i sponiewierany, jak nieboskie stworzenie.

Wpadł do rowu pijany i był całkiem nieprzytomny. Nic nie mówił, tylko wydawał dzikie ryki i oburącz trzymał się olszynki rosnącej w rowie. Zdawało mu się, że go djabeł wodzi i chce zgubić, więc uchwycił się tego krzaczka, jak tonący ostatniej deski ratunku. A zaciął ręce tak mocno, że nie mogliśmy go od drzewka odczepić i musieliśmy je razem z nim z korzeniami wydrzeć. Tak włożyliśmy go na furę. Gdyśmy go do kancelarii gminnej wnosili, trzymał jeszcze skurczony to drzewko przed sobą i ryczał, poczytując nas ciągle za złych duchów, które go chcą gdzieś uprowadzić.

Złożyliśmy go na podłodze i kazałem wartnikowi mieć nad nim baczenie. Tymczasem nad ranem wytrzeźwił się i wymknął się niespodziewanie. Później dowiedzieliśmy się, że był to gospodarz z Sobowa, znany pijaczyna.

Do szerzenia pijaństwa przyczyniała się też ta szkodliwa moda, która do dziś dnia przetrwała i panuje: ażeby się za poczęstunek odwzajemnić: »Dobre twoje, dobre moje«, — jak jeden zapłacił swoją »kolejkę«, to płacił znowu drugi, trzeci i t. d. i wódka lała się bez przestanku.

Przy kieliszku było zawsze najwięcej miłości i serdeczności, całowania i śpiewania, a jak się popili i wytargali za czupryny, to się też zaraz przeprosili i na nowo pili. Ale nie pamiętam z owych czasów wypadku, żeby się nożami pokłuli, jak to się teraz trafia, albo się do sądu skarżyli; pod tym względem dawni ludzie byli lepsi od dzisiejszych nożowników i proceśników.

### **Misje przeciw pijaństwu.**

Strasne to pijaństwo, szerzące się wszędzie, zwalczały bardzo skutecznie misje kościelne, na których ludność tłumnie odprzysięgała się wódki. Ja przysięgałem w r. 1869. Były wtedy przez 8 dni misje w kościele parafjalnym w Miechocinie; księża krzyczeli najwięcej na pijaństwo, nakoniec wzywali uroczyście do przysięgania od palących trunków przez podniesienie rąk. Podniosłem wtedy rękę do góry i od tego czasu nie miałem wódki w gębie. To mię ustrzegło od niejednego upadku w życiu, zaoszczędziło mi wiele pieniędzy, czasu i zdrowia a że przytem nie palę też tytoniu, więc dotychczas, choć mam już 87 lat i w życiu niemało pracowałem, nie byłę nigdy u lekarza, nie przechodziłem ciężkiej choroby i niejeden podziwia moje zdrowie. (Wspomniane misje odbyły się w r. 1869 w dniach 25 września do 3 października. Przeprowadzone były przez OO. Jezuitów przy współudziale okolicznego duchowieństwa. W czasie tych misyj odbyły się w parafji dwie wielkie procesje do Chmielowa i Stalów, gdzie na błoniach pod namiotem odprawione były Msze św. W czasie misyj rozdano 97 tysięcy Komunikantów. — Kronika parafjalna w Miechocinie.)

### **Wychowanie dzieci**

W rodzinach było dużo dzieci. Przeciętnie po 6–7, ale bywało też i po 12–15. Potomstwo uważali za błogosławieństwo Boże, a bezdzietne kobiety za niegodne tego błogosławieństwa i małżeństwa. Kobiety, nie mające potomstwa, czuły się z tego powodu nieszczęśliwe.

Ale też śmiertelność między dziećmi była wielka, bo zaledwie tylko połowa odchowiywała się, reszta zaś wymierała najwięcej w niemowlęctwie i w pierwszych latach życia wskutek niedostatecznej opieki i nieszczęśliwych wypadków, gdy rodzice byli poza domem, w polu, na weselu i t. p., wskutek lichego odżywiania, chorób dziecięcych, złego leczenia i t. p.

Dzieci trzymane były przy piersi zwyczajnie 1½ roku, niekiedy dłużej, bo można było widzieć i dzieci dwuletnie, które biegały za matką i wołały »cycy«. Przy tym dawali też dziecku do ssania t. zw. »mojdę«, t. j., gałganek lniany lub konopny, w który były zawinięte ziemniaki, kasza i t. p., maczane w mleku, a w braku tegoż, n. p. u biednych, w barszczu. Mojdę taką dawali dziecku

szczególnie wtedy, gdy matki nie było w domu lub była pracą zajęta, ażeby je od płaczu uspokoić. Służyło to zamiast dzisiejszej flaszki z gumowym smoczkiem, która nie była znana. Prócz tego karmili dzieci z łyżki, przyczem sami najpierw pokarm w ustach przeżuwali i miękczyli.

W domu dziecko spało w kołysce, którą u biednych zastępowały czasem niecki. Jeżeli zaś szli do roboty w polu i brali z sobą dziecko, to umieszczali je tam w płachcie, uwiązanej na drążku, założonym na dwóch sosnkach, wbitych w ziemię. Gdy płachta była duża i dziecko miało nadto coś pościelone, to leżało w niej prosto i wygodnie, ale gdy była mała, to leżało zgięte i mogło zgarbacieć, — więc takie trzymanie dziecka było później zabronione, a nie stosujących się do tego zakazu żandarmi zapisywali na karę. W ten sposób zwyczaj ten ustał i dzisiaj spotyka się go tylko niekiedy po lasach.

W pierwszych miesiącach kąpali dziecko często, dwa razy dziennie, i długo, przylewając w czasie kąpieli ciepłej wody, bo mówili, że w kąpeli dziecko rośnie. Od 4–5 miesięcy kąpali mniej.

Do kąpieli wkładali leszczynę, susz pszczelny i różne zioła, którymi dziecko okładali, ażeby — jak mówili — dziecko nabrało siły i nie miało na ciele wyrzutów. Taką wodę do kąpieli odgrzewali parę razy, dlatego była czarna i cuchnąca.

Nie zmywali dziecku brudu na przodzie głowy, czyli ciemieniu, t. j., w miejscu, gdzie schodzą się kości ciemieniowe z czołową, bo — jak mówili — przez zmywanie i uciskanie ciemienia, które do roku jest miękkie, dziecko mogłoby mieć wadliwą mowę. Dlatego na ciemieniu tworzyła się u dzieci zawsze skorupa brudu, w czym się też wszy lęgły, i co dopiero po roku, gdy ciemię stwardniało, delikatnie zmywali lub sama ta skorupa odpadała.

A chociaż życie takiego niemowlęcia nie upływało w rozkoszach, uważali czasy niemowlęctwa za najlepsze, bo mówili o nich z westchnieniem:

„O Boże mój, Bozicku,  
Nie było to, jak przy cycku.  
Jeść dali, spać dali —  
I płakać nie kazali”.

Dziecko, tak chłopiec, jak i dziewczyna, gdy zaczęło chodzić, nie nosiło żadnego innego okrycia prócz koszuli lnianej lub konopnej, długiej po kostki. Tak było ubierane mniej więcej do 6-go, czasem do 10-go roku życia, w lecie i w zimie, w takiej koszuli chodziło i spało. Nie znało przytem obuwia i nakrycia głowy.

W zimie, gdy takie mniejsze dzieci musiały siedzieć w domu, a były niespokojne i zawadzały na izbę, rodzice wyganiali je »na piec« lub »za piec«. Również ilekroć do domu zeszli się znajomi na pogadankę, albo przyszedł jakiś niecodzienny gość, naprzykład ksiądz po kolędzie albo organista po spisnem, dzieci jak na komendę uciekały »na piec« i stamtąd wyglądały na izbę, przypatrując się ukradkiem przybyłym.

Były one brudne, rozczochrane, o uczesaniu ich bowiem nikt nie myślał, przytem były nieśmiałe i bały się obcych.

Nie było wtedy szkół, więc w wychowaniu nie mogło być mowy o nauce szkolnej. Jednakże rodzice dbali bardzo o to, ażeby dzieci przyzwyczaić zawczasu do pracy, ażeby były pracowite i próżniactwa nie lubili, mówiąc, że gdzie niema roboty, tam niema co jeść i włożyć na siebie, tam jest bieda. Więc dziecko, skoro tylko trochę podrosło, miało jakieś zajęcie, było używane do pasania, do bawienia młodszego rodzeństwa i t. p., i chociaż szkół nie było, nie było tego wałęsania się i brojenia dzieci po drogach, jak się to obecnie widzi. Starsi uważali takie próżniactwo za złe i dzieci gonili do roboty. U chudobniejszych, gdy nie miały w domu co robić, oddawali je na służbę.

Przyuczali dzieci do robót gospodarskich, jakie sami znali; gdy ojciec był jakimś rzemieślnikiem wsiowym, to i syna tego rzemiosła nauczył. Do innych zawodów, n. p. do handlu, dzieci nie oddawali.

Ojcowie dbali o to, ażeby dzieci, tak chłopaki, jak i dziewczęta, skoro już tak podrosły, że mogły bywać na weselu, ocierały się zawczasu i obznajamiały między ludźmi i umiały się zabawić. Matka miała z tego największą radość, jeżeli córka jej dobrze tańczyła i na weselu miała powodzenie, — jeden ją puszczał, a drugi brał do tańca. Natomiast smutna była, gdy córki do tańca nie brały, gdy ta — jak się mówiło — »siedziała jak kołek, była na weselu, a nie widzieli jej«. Było to dla matki zmartwienie, nie wesele. Również i chłopaka wysoko cenili, jak umiał ładnie hulać, t. j., był dobrym tanecznikiem, mówili, że takiemu nie żal iść na wesele, bo się nacieszy i nabawi.

Młodzi znali wobec starszych uszanowanie. Za wielkie przestępstwo uważali, jakby się był ktoś z młodych: pastuch, parobczak czy dziewczucha odważył starszego wiekiem obrazić, znieważać, — co obecnie uchodzi często bezkarnie; gdy obrażony młodszego doraźnie ukarał, na przykład wymierzył mu policzek, to zaraz drudzy obecni przy tem lub ojcowie młodego wpływali na niego, aby starszego natychmiast przeprosił; — musiał go w rękę pocałować, uchwycić za nogi, bo inaczej czekała go większa kara. Nigdy też nikt z młodzieży nie poważał się wobec rodziców i w ogóle starszych wziąć do ust papierosa, — nawet parobczak już pod wąsem, dopóki nie wyszedł spod opieki rodzicielskiej, jeżeli miał chętkę do palenia, krył się z tem przed ojcami. Prędzej na wódkę pozwalali, niż na papierosy.

A obecnie widzi się, niestety, jak smarkate jeszcze chłopaki zarówno ze starszymi palą papierosy, i dzieci prawie w oczy starszym dym puszczają, jakby dla pokazania, co to już potrafią. I rzadko kto się tem gorszy, i rodzice nie zawsze to karzą, choć palenie tytoniu szkodliwe jest, zwłaszcza dla młodych, którzy dopiero rosną i rozwijają się.

### **Dzieci na pastwisku.**

Od 6-go do 12-go, a niekiedy do 15-go roku życia spędzały dzieci latem przeważnie na pastwisku, pasając gęsi, trzodę, krowy, konie.

Na pastwisku więc zbierało się tyle dzieci, ile było gospodarstw we wsi, bo tylko niektórzy komornicy, nie mający kawałka pola, bydła nie chowali. Wyjątkowo tylko, jeżeli pastuch był użyty do roboty w domu lub zasłabł, wyganiali bydło do obcego pastucha za wynagrodzeniem dziennem 2 do 4 grajcarów, stosownie do ilości bydła. Wysyłali za bydłem więcej chłopaków, i jeżeli w domu był chłopiec i dziewczyna zdadni do pasania, to pasał chłopiec, dziewczyna zaś zostawała w domu do pomocy matce.

Konie i krowy pasaly się wówczas w Dzikowie na nadwiślu, »w kępie«, odległej od wsi mniej więcej dwa kilometry, — świnie zaś i gęsi na dwóch bliższych, paromorgowych pastwiskach, »za opustem« i »na rokiciu«. Po zbiorach jesienią pasło się wszystko razem na ścierniskach, rolach, łąkach i na oziminach.

Pasterze »w kępie« zaraz na wiosnę najstarszego spośród siebie obierali wójtem, a także przysiężnych, na podobieństwo, jak było w gminie. Wójt rządził na pastwisku przez całe lato i młodzi musieli go słuchać, bo był mocniejszy i za nieposłuch bił batem. Sam już mało bydło nawracał, tylko wyręczał się młodszymi i wysypiał się dobrze na pastwisku, ale jak była szkoda w polu zrobiona i gospodarz poszkodowany przyszedł do »kępy«, to wójt najczęściej oberwał pałą, bo dał się chwycić na spaniu.

Wypędzając bydło zrana równo ze wschodem słońca, dostawało się do torby z domowego płótna kromkę chleba, a do tego masło lub twaróg z krużliku albo ser i śniadanie to spożywało się na pastwisku. Przy jedzeniu była w zwyczaju »dzielanka«, to jest. każdy dzielił się swoim śniadaniem z innymi i nawzajem był przez nich częstowany, a raczyli się tak albo w całej kupie, albo partjami dobierali się tacy, którzy z domu mieli mniej więcej jednakową wyprawę. Kto by zaś sam jadł na boku, ten jako »samojednik« nie był lubiany i dokuczali mu. Tak samo bywało przy spożywaniu podwieczorków.

Pastuch urozmaicał sobie życie stosownie do pory roku. Na wiosnę chodził za ptakami, i żaden ptak nie ukrył się wtedy ze swem gniazdem. Wybierali jajka wronie, kacze, kuropatwie i inne — i smażyli, jeżeli były czyste. Młode wrony piekli, oblepiwszy w glinie. Najgorsze było to, że niszczyli w ten sposób także pożyteczne ptaki; niejeden znajdował uciechę w tem, jak wybrał z gniazda jajka lub młode, a starsi mało zwracali uwagi na takie psoty. Najwięcej wyszukiwane były gniazda małych ptaszków »rajzów«<sup>1</sup>, które budują je bardzo sztucznie, jakby z wełny szyte, a zawieszają na gałązce nad wodą w miejscu niedostępnem tak, że gniazdo jest bardzo trudne do zdjęcia. Chodzili za nimi nie tylko chłopaki, ale i starsi, a gospodynie nieraz prosiły pastuchów: »Jakbyś tam zdybał rajzowe gniazdo, to przynieś, dostaniesz parę grajcarów; dobre ono na owinięcie gardła, jakby bolało«.

W lecie, jak tylko zboże zaczęło dojrzewać, pasterze robili »ząbki« na kapelusze słomkowe nie tylko sobie, ale i na sprzedaż.

W czasie żniw i po żniwach, gdy dojrzewały owoce w polach i sadach, zaledwie połowa pastuchów siedziała przy bydłem, inni podchodzili do sadów i do pól na rzepę, groch strączkowy i t. p., a następnie dzielili się zdobyczą z tymi, którzy tymczasem pilnowali bydła.

Często na pastwisku robione były »wesela« na podobieństwo prawdziwych wesel: tańce odbywały się przy piszczalce z wierzbiny lub przy skrzypcach o strunach z końskiego włosia, a tak chłopiec, jak i dziewczyna, zazwyczaj już na pastwisku nauczył się tańczyć. Stąd była śpiewka weselna, odnosząca się do dziewczyny, która źle tańczyła:

Czyś bydełka nie pasła,  
 Źeś tańcować nie umiała —  
 Pasałam ja wele zboża  
 Uczyłam się Matko Boża!

W lecie ulubione były kąpiele w Wiśle i w łąkach wiślanych, a w gorące dni cała rzesza dzieci, wysyłana za bydłem, spędzała czas więcej nago, niż w koszuli; tarzały się w piasku lub błocie i znowu myły w wodzie.

Do największych jednak przyjemności pastucha należało mijanie się na koniach. Gdy się goniło bydło na pastwisko lub z pastwiska, jadący na koniach zatrzymywali się w tyle, następnie ruszali z kopyta i pędzili co koń mógł wyskoczyć, próbując, który chybszy.

### **Zahartowanie i siła dawniejszych ludzi.**

Wielka prostota w wychowaniu, potrawach, obyczajach i w całym sposobie życia wpływała na to, że w czasach normalnych, zwykłych, naród wsiowy był niezwykle zdrowy, zahartowany i odporny na różne niewygody i niedomagania ludzkie. Nie wiedzieli wówczas o takich różnorodnych słabościach, jak teraz, mniej też było wypadków, aby ktoś umierał w sile wieku, jak się to obecnie często trafia; jak się kto odchowwał, to się już chował.

Już dzieci były bardzo zahartowane. W zimie wśród mrozu i śniegu wybiegały z izby w koszuli i boso: po drzewo, do bydła i za inną posługą. — Pamiętam, gdy jechałem raz w zimie z jednym z sędziów tarnobrzeskich i przejeżdżaliśmy przez Tarnowską Wolę, z chałupy wybiegł chłopiec w koszuli konopnej, boso i bez czapki, przyjrzał się nam i następnie puścił za saniami i biegł z pół kilometra do innego domu, mimo, że dzień był mroźny i droga śniegiem zasłana. Na to zauważył sędzia: »Ten chłopak więcej wart od mojego dziecka, bo gdyby tak moje zrobiło, jużby mu trzeba trumnę robić«.

Tylko ten, co w zimie cały dzień był zajęty poza domem, gdzieś jechał, — ciepło się obuwał. W lecie każdy chodził boso nawet do kościoła i na jarmarki. Idąc do kościoła, nieśli buty w rękach i dopiero przed kościołem się obuwali. Nawet na wesele po większej części szli boso, mówili, że

»szkoda drzeć buty w tańcu«.

Odziwiali się lekko nawet w czasie mrozów, a w lecie »za końmi« w nocy sypiali w polu na gołej ziemi.

W czasie wesela młody czy stary tańczył tak, że koszula była mokra, jakby ją z wody wyciągnął. Tak zgrzany wychodził nawet w czasie ostrej zimy w koszuli na dwór, żeby się ochłodzić, a bywało też — czego naocznym byłem świadkiem — że dla lepszej ochłody kładł się nawet na ziemi na śniegu i dopiero, gdy za długo leżał, nie pozwalali na to inni z obawy, żeby do ziemi nie przymarzł. Taki wchodził napowrót do izby weselnej, otrząsł się tylko ze śniegu i zimna, jak koń po wytarzeniu się i dalej się bawił. I nie słysząc było, żeby się kto w podobnych razach przeziębiał, zakatarzył, dostał zapalenia labo innej choroby.

Albo kobiety prały także zimą przy sadzawce i szły do dnia, żeby przed innymi zdążyć do wody. Nieraz w czasie największego iskrzącego mrozu rozlegał się po wsi odgłos kijanek, — a praczki ubrane były lekko, żeby się mogły dobrze przy robocie uwijać, i klęczały na desce przy wodzie gołymi kolanami. I grzały się przy tej pracy, choć »smaty« kostniały od mrozu pod kijankami i przy wyżymaniu i do domu były przynoszone zmarznięte, jak kamień. Nadto niektóre blisko kilometr dźwigały je do wody i od wody, brnąc po kolana w śniegu, jeśli w nocy usypały, a mężczyźni wprawdzie drogi nie utorowali.

Pracowali ciężko dniami i nocami, nie było żadnych maszyn ani narzędzi rolniczych, któreby mogły w ciężkiej pracy ulżyć.

Niektórzy, zarówno chłopci, jak i kobiety, odznaczali się potężną budową ciała tak, że w obecnym czasie rzadko się trafi takiej budowy mężczyzna lub kobieta, nadto byli dawniej chłopci, którzy słynęli z nadzwyczajnej siły. Taki siłacz, gdy się czasem w mieście podochocił i rozhulał, to żydzi przed nim tłumami uciekali i policjanci nie śmieli zbliżyć się do niego, ale wszyscy z daleka się trzymali, a jak komu tylko pogroził, to uciekał, co miał sił. Czasem i pół dnia »urzędował« tak po mieście, po wszystkich ulicach Tarnobrzega. Nie miał nawet przy sobie pały, ani nie kłuł nożem, — którym tak często posługują się teraz zwyrodniali nożownicy zarówno po miastach, jak i po wsiach, nie mający siły dawnych ludzi, — wystarczyło zresztą, jak kogo raz ręką pomacał. Tacy mocarze jednak byli w życiu codziennym łagodnych obyczajów i w koleżeństwie bardzo dobrzy, a tylko niebezpiecznie było wchodzić im w drogę, gdy byli podochoceni.

### **Moralność.**

Co do moralności, to dawniej obok takich wad, jak pijaństwo, były także dobre obyczaje i cnoty, które dziś, niestety, zaginęły. Na przykład kara aresztu była dawniej dla ludzi hańbiącą i bardziej się jej wstydzili niż kary cielesnej. Jak kto siedział w areszcie za jakie przewinienie, to mu to długo wspominali, zwłaszcza przy jakichkolwiek zwadach wołali na niego: »ty hereśtańcie!« lub »ty hereśtantko!«; a jak kto był aresztem więcej razy karany, to porządniejsi gospodarze i gospodynie mieli to sobie za ujmę honoru wchodzić z takim w koleżeństwo lub nawet mówić z nim, i bratanie się z takim wytykali zaraz palcem.

Rozpustę w wysokim stopniu potępiali, — a jeżeli się trafiło, że panna lub wdowa powiła nieślubne dziecko, to żeby była nawet gospodarska córka lub gospodyni, nikt ze wsi nie poszedł w kumy, żeby to dziecko ochrzcić, tylko dziadów prośalnych do chrztu z niem wysyłali, a matkę nieślubnego dziecka nazywali »przeskoczka«, że przestąpiła przykazanie Boże. I rzadko się trafiło, żeby taka wyszła za mąż; wskazywali ją zawsze palcem i splamiona była do śmierci.

A dziś wkrada się na wsi w zatrwajający sposób rozpusta, której w pierwszym rzędzie ulega młodzież, wyjeżdżająca za zarobkiem i nie mająca poza domem żadnej nad sobą opieki. Nadto szerzy się palenie tytoniu i nie ustaje pijaństwo, niszczące ludzi od dawna i zatrważające krew z pokolenia na pokolenie.

Nic więc dziwnego, że obecnie ludzie coraz słabsi, nędzniejsi, że coraz mniej odporni na przeróżne choroby i giną przedwcześnie. To jednak najgorsze, że sami się do złego najczęściej nie poczuwają, ale na Pana Boga tylko składają swoje niedomagania, biedy i nieszczęścia. Nie chcą zrozumieć tego, czego uczy religia święta, że nie Pan Bóg winien złemu, jakie się szerzy, bo On wyposażył człowieka do dobrego życia i dał mu wolną wolę, — a ludzie sami przez życie niemoralne, nieoświecanie swoich umysłów i przestępowanie przykazań bożych ściągają na się choroby i różne nieszczęścia.

Więc najważniejszą i najpilniejszą rzeczą obecnie jest tłumić złe, jakie się krzewi, i poprawiać obyczaje tak, żeby razem z postępem na różnych polach szedł też wzrost moralności u ogółu ludności.

### **Juliusz Słowacki**

### **Pieśń Legijonu Litewskiego**

Litwa żyje! Litwa żyje!  
Słońce dla niej błyszczy chwałą,  
Tyle serc dla Litwy bije,  
Tyle serc już bić przestało.  
Trzeba być głazem! trzeba być głazem,  
Cierpieć te więzy rdzawione pleśnią,  
Myśmy się za nie mścili żelazem,  
I wolną myślą, i wolną pieśnią.  
Zadrzały wrogi,  
Pieśń to ponura  
Te żmudzkie rogi.  
Jezus Maryja! naprzód! hop, hop, urra!

Nauczyli nas Teutony  
Śpiewać, jako nam śpiewali.  
Legijony! Legijony!  
Na Ruś! na Ruś! dalej! dalej!  
Bo gdy nam każą znów iść ku Włochom.  
Jakże się rozstać z Ojców grobami?  
Chyba odwiecznym powiemy prochom:  
Powstańcie z grobów! chodźcie za nami!  
Zemsta na wrogi,  
Pieśń to ponura  
Te żmudzkie rogi.  
Jezus Maryja! naprzód! hop, hop, urra!

Gdy car groził Olgierdowi,  
Odrzekł posłom Olgierd stary:  
Nieście pochodnię carowi,  
Nim zgaśnie, powitam cary.  
I za posłami téj saméj nocy  
Obozem stanął na Moskwy górach,  
Panował miastu jak orzeł w chmurach,  
Wszedł z jajkiem kraśném w dzień Wielkanocy.

Zadrzały wrogi,  
Pieśń to ponura  
Te żmudzkie rogi.  
Na grom Perkuna! naprzód! hop, hop! urra!

Jagiellońskiej mur stolicy  
Nam rozkwitnie kobiercami;  
Trud zapłaci wzrok dziewicy,  
Pomieszany śmiech ze łzami.  
A kędy baszta mchami okryta,  
Zbudzony pieśnią kamień z téj wieży  
Może się zerwie, do stóp przybieży  
I Giedymina wnuków powita.  
Daléj na wrogi,  
Pieśń to ponura  
Te żmudzkie rogi.  
Jezus Maryja! naprzód! hop, hop, urra!

Nikt nas teraz nie obwini,  
Nikt na świecie nie zapyta:  
Czy jeszcze żyją Litwini ?  
Oto Pogoń nasza świta!  
Lecz nie pytajcie, czemu tak mała  
Garstka chorągwią mężnych powiewa?  
Więcej nas było – lecz z tego drzewa  
Burza niejeden liść oberwała.  
Zemsta na wrogi,  
Pieśń to ponura  
Te żmudzkie rogi.  
Jezus Maryja! naprzód! hop, hop, urra!

Ho! zaszummy proporcami,  
Co wolności barwą świecą;  
My lecimy, a za nami  
Orły! orły! orły lecą.  
Na nasze głowy jak szronu kiście  
Spadają gromy... legion umiera  
Jak laur zdobiący grób bohatera.  
Kto chciwy sławy – rwie lauru liście.  
Zemsta na wrogi,  
Pieśń to ponura  
Te żmudzkie rogi.  
Jezus Maryja! naprzód, hop, hop! urra!

**Krzysztof Tarka**  
**Epigoni Wielkiego Księstwa Litewskiego**  
**Krajowcy Wileńscy 1939-1940**

10 października 1939 r. w Moskwie ministrowie spraw zagranicznych Związku Sowieckiego i Litwy - Wiaczesław Mołotow i Jozuas Urbđys - podpisali układ, na mocy którego ZSSR przekazywał Republice Litwy miasto Wilno wraz z przyległym obszarem, zajęte uprzednio przez Armię Czerwoną. W zamian rząd litewski zmuszony był zgodzić się na rozmieszczenie na swym terytorium pięciu sowieckich baz wojskowych (w Nowej Wilejce, na Porubanku, Gajżunach, Olicie i Prenach).

27 października 1939 r. wojska litewskie przekroczyły dotychczasową granicę polsko-litewską, a nazajutrz wkroczyły do Wilna. Tym samym zakończyła się pierwsza blisko półtoramiesięczna okupacja sowiecka na tym terenie (1).

Wiadomości o postanowieniach układu sowiecko-litewskiego z 10 października były inspiracją do ogłoszenia przez byłego dziennikarza wileńskiego "Słowa", i znanego już przed wojną reportażysty, autora wydanej w 1938 r. książki "Bunt rojstów" - Józefa Mackiewicza - artykułu "Mes Vilnečiai" ("My Wilnianie") na łamach kowieńskiej gazety Lietuvos Zinios ("Wiadomości Litwy") w numerze 234 z 14 października 1939 r. Obok krytyki polskiej polityki względem mniejszości narodowych J. Mackiewicz napisał również o spodziewanym niebawem wkroczeniu do Wilna wojsk litewskich, iż "tak radośnie i jednolicie przez wszystkich mieszkańców, niezależnie od tego, czy byłiby to Polacy czy Litwini - nie było witane żadne inne wojsko, jak dzisiaj... będzie witane w Wilnie wojsko Litwy". Uzasadnieniem powyższej opinii była dla J. Mackiewicza radość z powodu opuszczenia Wilna przez wojska sowieckie. Pisał on : "17 i 18 września. Ten, kto widział, co w tym czasie działo się w Wilnie, ten wie, jeśli nawet otwarcie nie zechciałby się do tego przyznać, że mamy podstawy, by tak sądzić". I dalej "Tylko realne wartości mają znaczenie. Taką realną wartością jest dla nas przejście Wilna z ZSSR w ręce republiki Litwy (2)". Opinia o radosnym powitaniu wkraczających do miasta wojsk litewskich nie sprawdziła się. W rzeczywistości "ludność polska zachowała się wobec wkraczających do miasta Litwinów powściągliwie, z większym zaciekawieniem niż niechęcią spoglądając na nowe mundury (3)". Na tym tle odosobniony był gest adwokata Bolesława Szyszkowskiego, który w imieniu wileńskich krajowców powitał żołnierzy litewskich słowami : "Spotykamy was tutaj, bracia Litwini, wierząc mocno, że w tych zmiennych czasach przynosicie ze sobą symbol praworządności i ładu, bezpieczeństwa życia i mienia, że jakkolwiek przyszłość zgotuje los naszym narodom, - współżycie Litwinów i Polaków wskrzesi starą ich przyjaźń i szacunek wzajemny. Takim było i jest hasło tutejszych krajowców i pod znakiem tego hasła witam Was u stóp zamku Gedymina. Niech żyje przyjaźń polsko-litewska (4)". Obecny stan ludność polska, stanowiąca zdecydowaną większość mieszkańców Wilna, uważała jednak za krótkotrwały i przejściowy w przeciwieństwie do strony litewskiej, dążącej do litwinizacji i asymilacji regionu z Litwą. Mimo, iż nowe władze tolerowały istnienie Komitetu Polskiego pod przewodnictwem mecenasa Bronisława Krzyżanowskiego nieoficjalnej reprezentacji społeczeństwa polskiego w Wilnie, zezwoliły na druk polskich gazet (Kurier Wileński i Gazety Codziennej), czy ograniczone obchody święta państwowego w dniu 11 listopada - to dominowały jednak nastroje wzajemnej wrogości. Przykładem restrykcji wobec ludności polskiej były np. ustawa o obywatelstwie mieszkańców Wilna i obwodu wileńskiego, segregująca ludność na obywateli, uchodźców i cudzoziemców (wśród tych ostatnich znalazła się zdecydowana większość rodowitych mieszkańców Wileńszczyzny), likwidacja w dniu 15 grudnia 1939 r. Uniwersytetu Stefana Batorego, obowiązek urzędowego posługiwania się językiem litewskim (którego ludność nie znała), rugi z pracy, przymusowe litewszczenie nazwisk czy też wszelkich szyldów. Często zdarzały się również pobicia rozmawiających po polsku na ulicy, bójki w kościołach. W efekcie działania litewskie prowokowały społeczeństwo polskie i spychały je mimowolnie ku konspiracji, uniemożliwiając jakiegokolwiek sensowne porozumienie obu strony (5).



W możliwość kompromisu chcieli wierzyć i wierzyli tylko wileńscy krajowcy. Była to grupa nieliczna i jak się okazało z racji swojego odmiennego tak od polskich jak i litewskich dążeń stanowiska atakowana z dwóch stron. Jaki był ich rodowód? Kim byli wileńscy krajowcy? Jaki był ich program, cele i dążenia?

Początki idei krajowej sięgają przełomu XIX-XX wieku. W tym okresie hasła krajowości propagowało przede wszystkim miejscowe konserwatywne ziemiaństwo. Sympatykami idei krajowej byli m.in. Aleksander Chomiński, Marian Broel Plater, Konstanty Gordziakowski, Stanisław Kognowicki, Aleksander Lednicki, Stanisław Łopaciński, Aleksander Meysztowicz, czy arcybiskup Edward Ropp. Na początku wieku XX z programem krajowym wystąpili też wileńscy demokraci. Skupili się oni wokół wydawanej w 1906 r. (ogółem 105 numerów) przez Michała Romera Gazety Wileńskiej. Głównym publicystą krajowym był Ludwik Abramowicz. Idea krajowa znalazła kontynuację w redagowanym przez niego w latach 1921-1938 Przeglądzie Wileńskim. Spośród wileńskich demokratów na przestrzeni ponad 30 lat (od 1905 do 1938 r.) z ideą krajową związani byli oprócz już wymienionych M. Romera i L. Abramowicza m.in. Witold Abramowicz, Bronisław Krzyżanowski, Zygmunt Jundziłł, Ludwik Chomiński, Tadeusz Wróblewski, Czesław Jankowski, Jan Boguszewski, Józef Łastowski, Helena Romer-Ochenkowska, Władysław Zawadzki, Ignacy Turski, Marian Świechowski, Kazimierz Okulicz, Witold Staniewicz, Marian Kościakowski, Waław Wyszynski, Stanisław Swianiewicz (6). Nieco nostalgicznie i sentymentalnie pisząc o idei krajowej Z. Jundziłł twierdził: "Wszyscy oni (krajowcy - dop. K. T.) wiedzą, czują, że tu to „nasz” krab a tam to albo „Rasieja” albo „Polszcza”, wszyscy oni mają, czy też mieli, swój solidaryzm geograficzny, wszyscy chcą mieć i miłują swoją ziemię, choć uboga, nie urodziwa, wszyscy oni „czują” choćby go nie widzieli, że jest jakieś wielkie tej krainy „cudo”, jakieś miasto, do którego ich ciągnie, a jest nim Wilno". Trafna jest również jego uwaga, iż "Idea krajowa (...) w istocie swej krystalizowała się wokoło elementów psychiki, wokoło elementów tradycji i uczuć. (...) Treść jej [to] - integracja tego całego obszaru [„od Prypeci aż po Dźwinę i ujście Niemna do Bałtyku” dop. K. T.] w jedną całość z Wilnem jako centrum". Kraj ten [Wielkie Księstwo Litewskie] jawił się Jundziłłowi jako swoista "wyspa zaczarowana". Idealizując pisał on: "Ludzie mojej epoki mogą, lub mogliby potwierdzić, że nic tych trzech narodów wokoło Wilna, na terytorium W. Ks. Litewskiego osiadłych, wówczas nie różniło, a wszystko łączyło w jedno, jednej wiary, jednej historii społeczeństwo". Z tego kraju "Nikt nikogo nie wypędza, nikt nie dąży do penetracji, do asymilacji", gdyż "Poczucie jedności naszego kraju jest takim głębokim, odwiecznym, naturalnym podłożem. (...) Problemów, które by różniły i poruszały tłumy, prawie nie ma", a "Przeszłość tego kraju - to fenomen idealnego prawie współżycia". Zamieszkujące go "ludy słowiańskie i pół-słowiańskie przetrwały w swoich formach piękniej, niemal klasycznej idylli. (...) Był to kraj bez dramatycznych walk i nienawiści społecznych w swej historii", w którym "Idea krajowa wyrasta spontanicznie z ducha tego kraju. Nie szuka ona w nim ras i narodów (7)". Kilkanaście lat po zakończeniu II wojny światowej, ukazując genezę ideologii krajowej, J. Mackiewicz napisał: "Historia jest bardzo długa i bardzo zawiła. Chodzi o to, że ongiś, dawno, było państwo nie tyle bogate co i wielkie i, jak na mój gust, piękne, pod nazwą Wielkie Księstwo Litewskie. I oto raptem wszyscy wyrzekli się po nim sukcesji. (...) Co do Księstwa Litewskiego (...) dokonywał się rozbiór wewnętrzny, (...) właściwymi rozbiórcami stali się Polacy, Litwini i Białorusini. Sukcesor do całości się nie zgłosił. (...) W ostatecznym rezultacie, na całej przestrzeni od Poługi do Dniepru pozostał tylko jeden człowiek, Ludwik Abramowicz (...), który zgłosił pretensję do sukcesji po Wielkim Księstwie Litewskim (...), który] swoją koncepcję polityczną wywodził nie z polskiej [i dodajmy nie z litewskiej - K. T.], a z wielko-litewskiej racji stanu (8)". Przywódca wileńskich krajowców zmarł 9 marca 1939 r., w przededniu II wojny światowej. Propagowane przez niego poglądy nie zostały jednak zupełnie zapomniane. Próbę ich kontynuacji podjęło w początkowym okresie wojny, w dobie litewskiej okupacji Wilna, grono osób skupionych wokół Gazety Codziennej.

Pierwszy numer tego pisma ukazał się w sobotę 25 listopada 1939 r. (Nieco wcześniej, bo 2 listopada, wznowiono wydawanie Kuriera Wileńskiego). Gazeta Codzienna zasadniczo miała

objętość 4 stron (wydania niedzielne były sześciostronicowe, a świąteczne nawet i dziesięcio). Nakład, jak na warunki wileńskie, był znaczny, wynosił 10-12 tysięcy egzemplarzy. Redakcja i administracja mieściły się przy ulicy Orzeszkowej 11. Wydawcami Gazety byli Bolesław Szyszkowski i Józef Mackiewicz, który był równocześnie jej redaktorem naczelnym. Nazwisko J. Mackiewicza jako współwydawcy figurowało do 126 numeru z 7 czerwca 1940 r., później funkcję pełnił już tylko B. Szyszkowski. Od numeru 82 z 14 kwietnia 1940 r. na stanowisku redaktora naczelnego J. Mackiewicza zastąpił Romuald Węckowicz, a 14 lipca 1940 r. tego ostatniego zastąpił Mykolas Martincykas (Marcinczyk). Ogółem od 25 listopada 1939 r. do 20 sierpnia 1940 r. wydano 195 numerów Gazety Codziennej, po czym pismo - w zupełnie innych warunkach okupacji sowieckiej - zostało zlikwidowane (wcześniej spotkało to już Kurier Wileński, przeistoczony w Gazetę Ludową). Od sierpnia 1940 r. w ich miejsce ukazywała się już tylko Prawda Wileńska. Wśród współpracowników i autorów Gazety Codziennej znaleźli się m.in. Józef Mackiewicz, Teodor Bujnicki, Zygmunt Jundziłł, Ludwik Chomiński, Jan Otrębski, Mieczysław Limanowski, Michał Józefowicz, Franciszek Hryniewicz, Odyniec, Bolesław Skirmuntt, Michał K. Pawlikowski, Barbara Toporska, Konstanty Szychowski, Michał Romer, Boris Orieczkina, Fryderyk Łęski, Władysław Łepkowski, Kazimierz Luboński, Bohdan Mackiewicz, Euzebiusz Łopaciński, Waław Studnicki, Piotr Kownacki, Kazimierz Hałaburda, Bolesław Szyszkowski, Jakub Kowarski, Leszek Bortkiewicz, Światopełk Karpiński, Janusz Minkiewicz, Romuald Węckowicz, Czesław Miłosz, a także Waław A. Zbyszewski z Londynu (9).

Pismo było w zasadzie samodzielnie finansowo, jednak restrykcyjna cenzura prewencyjna litewska i kary pieniężne nakładane na Gazetę podrywały normalną kalkulację, tak iż od ostatecznej katastrofy i upadku na początku 1940 r. uratował pismo Michał Tyszkiewicz, udzielając kilkakrotnej subwencji finansowej (10). W opinii badacza zagadnienia Gazeta Codzienna "była niezłe redagowanym pismem. Zwraca uwagę jej operatywność, cenny dział informacji o wydarzeniach bieżących w kraju [jak i za granicą - dop. K. T.], a w początkowym okresie także dość bogata publicystyka (11). Szczególnie dużo miejsca (mimo ograniczeń cenzuralnych) poświęcono wojnie sowiecko-fińskiej. Było to konsekwencją poglądów redaktora i wydawcy pisma, Józefa Mackiewicza. Już po II wojnie światowej pisał on, iż "Kneblowany przez cenzurę w głoszeniu swego programu politycznego, najdłużej i najuparciej broniłem jednej z jego pozycji: pozycji antysowieckiej. (...) Głosiłem wówczas (...) Że mianowicie pierwszą linią obronną naszego kraju nie jest linia Maginota, a linia Mannerheima (12)".

Na łamach Gazety Codziennej, szczególnie w początkowym okresie, pojawiła się bogata publicystyka przedstawiająca i propagująca elementy ideologii krajowej. Już w pierwszym numerze pisma J. Mackiewicz wyłożył podstawowe założenia ideowe krajowców. Pisał: "Tuśmy wyrosli od wieków, w tę Ziemię Wileńską i nikt jej obrazu z serca nam wyrwać nie jest w stanie. I po największej nawet burzy, ci z nas co się ostali, zdrowi czy ranni, z okopów, lasu czy piwnic, z zagranicy, czy tylko z domu, wrócimy do swej ziemi i będziemy ją orać. Nie dla nas jest hasło : wyczekać, przemilczeć, przeczekać. Niech ono zostanie słusznym hasłem dla tych, dla których Wilno jest miejscem chwilowego postoju, czy schronienia na rozdrożu. My czekać nie mamy czasu. My przemilczeć nie mamy czego. My jesteśmy u siebie w domu i musimy pracować i mieć prawo do głośnego mówienia". Przypominał jednocześnie, że "chyba dzieci tylko zrozumieć tego nie mogą, iż w chwili obecnej, dawna „sprawa Wilna” przeistoczyła się z problemu w dylemat. Prosty i surowy: albo SSSR, albo Litwa. Do tych wszystkich, którzy odetchnęli z ulgą w dn. 28 października zaliczamy się również. (...) W tej chwili zatem nie chcemy wypowiadać się ani w imieniu Polaków, ani Litwinów, ani Białorusinów, czy Rosjan, ani z prawa, lewa, czy centrum - po prostu : czujemy się całym Wilnem (13)". Mackiewicz, wyrażając radość z opuszczenia miasta przez bolszewików, wzywał jednocześnie do aktywnej pracy na rzecz kraju (Wilna), niezależnie od tego, iż znalazł się on obecnie pod okupacją litewską. Trafna wydaje się być opinia Boleckiego, iż jak "rozumował Mackiewicz - lepiej żyć w Wilnie rządzonym przez Litwinów niż przez hitlerowców czy bolszewików ." (14)

Podobny charakter miał artykuł Teodora Bujnickiego, który pisał: "wzięły w nas górę pierwiastki

wegetacyjne (co?, gdzie?, za ile?), ale należy zacząć żyć pełnym życiem, a nie prowadzić wegetację."(15)

Krajowcy byli przeciwni wszelkim szowinizmowi narodowemu, dominacji czy to Polaków czy Litwinów, kładli akcent na porozumienie i kompromis. "Dążymy do tego, aby stosunki narodowościowe w Wilnie ułożyły się w atmosferze wzajemnego zrozumienia i szacunku jednych do drugich. Jeśli te walory zwyciężą nie będziemy widownią gorszących i barbarzyńskich waśni, wywlekanych przez szumowiny tej czy innej strony (16)". Jak pisała córka Ludwika Abramowicza, Zofia, nacjonalista "nie może się pogodzić z krajowością, bo konieczne jest, by idee narodowe, z natury wymagające wyłączności - podporządkowały się idei krajowej, będącej przeciwieństwem wyłączności, uosobieniem zaś wspólnoty. Dlatego jest ona zbędna w państwie jednolitym narodowo, konieczna natomiast w państwie narodowościowym, którym musi się stać w przyszłości W. X. Litewskie, a w którym wszystkie trzy narodowości będą się czuły u siebie i korzystały z całkowicie równych praw na wzór Belgii czy Szwajcarii. I takiego to państwa stolicą będzie wówczas Wilno, które wyjdzie wreszcie z roli pionka, o którego losach decyduje kto inny w myśl nacjonalistycznych postulatów tej czy tamtej strony (17)".

Najpełniejsze ujęcie ideologii i dążeń krajowców znalazło wyraz w dwuczęściowym artykule Ludwika Chomińskiego "Krajowcy". Warto więc przytoczyć jego obszerniejsze fragmenty: "Co to są krajowcy? Polscy krajowcy w Wilnie? Są to ci, co ukochanie oraz interes kraju w pierwszym rzędzie podkreślają. Lecz cóż to jest kraj? Czy to ten dzisiejszy wąski "kraj wileński" nienaturalnie zbyt szczupło wykrojony? Czy Litwa w dwudziestoletnich granicach, czy wedle map lipcowych 1920 roku ?

Nie. Nasze pojęcia są szczerze. Kraj nasz - to ziemie byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego - to tradycja ludów, które niegdyś w Wilnie miały swą stolicę - to amalgamat krwi litewskiej, polskiej, białoruskiej, przemieszany z żydami, tatarami, karaimami, starowiercami! To kraj szeroki mający ośrodek w naszym Wilnie, jak w soczewce skupiającym ideę i myśl ześrodkowującą dążenia krajów odwiecznie stąd rządzonych. Wilno to miejsce święte, to Mekka tylu narodów, szczepów i ludów, to ukochanie tych wszystkich, którzy w szerokim promieniu tego Znicza się rodzili, trwali, pracowali, cierpieli i kochali.

Wilno - to przecięcie dróg nie tylko handlowych z zachodu na wschód, z północy i południa. To miłe miasto jedyne może w tym rodzaju na świecie. (...). Krajowcy w naszym rozumieniu są to właśnie ci, co poprzez nacjonalizmy, poprzez splątana sieć sporów i walk poszczególnych wiar narodowych, religijnych, społecznych, ideowych pragną spójni a nie podziałów, zgody a nie waśni, złączonych we wspólnym wysiłku ramion a nie ziejących nienawiścią oczu i wysuniętych pięści o wyłączne posiadanie wspólnego skarbu. (...) Jakże ich mało - takich krajowców. Jak są niezrozumiani, jacy śmieszni w swej donkiszoterii, jacy nieżyciowi, (...) A jednak są i trwają. (...) Żyją i rozwijają się i innych zarażają swym przykładem (18)". I dalej : "Wielka idea (krajowa - K. T.), przez wieki współżycia i wspólnie wyniesionej tradycji rozwinięta przetrwała twór państwowy, który ją wytworzył, przetrwała lata zaboru i ucisku rosyjskiego, przetrwała szczątkowo po dziś dzień. Ale skończyła swe panowanie w wieku dwudziestym, w wieku rozbudzonych nacjonalizmów.

I stało się, ponieważ Wilno było zawsze tej idei ośrodkiem, że my Wilnianie pozostaliśmy jej stróżami i kapłanami. My, niemal wyłącznie Polacy, tutejsi, przechowaliśmy ten znicz idei krajowej, otwartej przecie dla wszystkich. Inne części, dawniej rozległego kraju, ze wschodu, zachodu i południa zaczęły się idei ogólnokrajowej przeciwstawiać, a swoje nowe myśli narzucać. Przestano nawet nas rozumieć; dzieje ostatniego dwudziestolecia są tego wymownym przykładem, bo nie rozumiano nas z żadnej strony. A my, krajowcy, wyznawcy idei całości kraju, a nie jego części pozostawaliśmy niezrozumiani, ośmieszani, odsunięci. A mimo to trwaliliśmy i trwamy i wierzymy, że naszą wiarą zarazimy i przekonamy. Wierzymy, że z tego cudnego Wilna utworzymy pomost zgody dla wszystkich krajowych narodów Polaków, Litwinów, Białorusinów, Żydów - a nie jabłko niezgody (19)".

Krajowcy chcieli powrotu do normalności, co w okresie gwałtownych przemian, jakie niosła wojna, było bardzo trudne, a nawet niemożliwe. Czołowy publicysta i zastępca redaktora naczelnego Gazety Codziennej T. Bujnicki pisał: "Cieszę się z każdej ideowej polemiki, z każdej zapowiedzi rodzącego się unormowanego życia. To dobrze jeśli ktoś myśli o różach i wynosi je z płonącego lasu (20)".

Precyzując różnicę między krajowcami a dominującą wśród ludności polskiej Wilna oceną bieżących wypadków, B. Szyszkowski tak odpowiadał na list "rodowitej Wilnianki" "Różni nas z Panią zapewne nie patriotyzm, lecz odmienne podejście zasadnicze do stosunków litewsko-polskich. My nawiązujemy do czasów minionych, do czasów kiedy tu, na tej ziemi Polak Litwinowi był bratem, gdy obydwie mowy mogły się swobodnie rozlegać, gdy nikt nikogo nie uciskał. Pani zaś pragnęłaby po prostu zatrzymać modus vivendi z ostatniego 20-lecia. I tutaj leży rozbieżność ideologiczna między Panią a nami. Stąd płynie bojowy atak Pani (21)".

Wzywając do umiaru i samoograniczenia, propagowano również wzór patrioty. Według Bolesława Skirmunta "Dla każdego patrioty religia i język są skarbami. Następne objawy patriotyzmu to są śpiewy, obchody i różne uroczystości patriotyczne. Wszystko to jest bardzo piękne i rozbudza ducha, ale musi być umiar i nie wolno dopuszczać do ekscesów, które tylko szkodzą i o które - niestety - łatwo, gdzie bierze udział gorąca młodzież i ulica (22)". Korespondował z nim artykuł Leszka Bortkiewicza twierdzącego, iż "Najczęściej mamy do czynienia z ludźmi, związanymi z pewnym terenem niezbyt szerokim i nie bardzo wąskim, który jednak wystarcza do zaspokojenia dostępnych w miarę możliwości życiowych potrzeb kulturalnych i materialnych. Kontakt zaś ten - w miarę utylitarny - wytworzył miłość jakby synowską. Takim terytorium najczęściej dla wszystkich jest "ziemia". Grodzieńska, Mazowiecka, Kujawska, Wileńska. I doprawdy rzadko można znaleźć było w Polsce człowieka, który by potrzebował dla zaspokojenia wszystkich swych potrzeb kulturalno-materialnych - całej jak jest Polski. Wszystkich jej ziem (23)".

Miejsce szczególne w ideologii krajowców zajmował zmitologizowany wręcz obraz "cudownego miasta" - Wilna. Dał temu wyraz m.in. T. Bujnicki w artykule pod znamienym tytułem "Kochamy Wilno (24)", jak i L. Chomiński pisząc: "Wilno... ośrodku cudowny, do którego tęsknią z południa i północy, ze wschodu i zachodu! Miasto dziwne... niby zwykłe, niby codzienne, tak, swojskie, - a przy tym jakieś świąteczne, uroczyste, takie godne, pociągające, po prostu święte... niby różnoplemienne, różnolite, a tak bardzo jedność, jednolitość wnoszące, że pół świata przejdiesz, a prawdziwego Wilnianina tam jak brata do serca przyciśniesz, choćby innej był wiary i języka! Wilno, miejsce święte, wspólna własność ideowa tylu ras i wiar, tradycyj i legend, nienawiści i ukochań! Dokąd dążysz, czego pragniesz, co ci się śni - miasto nasze jedyne. Czy strzelasz iglicami świątyni tylu wyznań, ku niebu - w tęsknocie do wieczności?" (25)

16 lutego 1940 r., w 22-gą rocznicę niepodległego bytu państwowego Republiki Litwy, redaktor naczelny Gazety Codziennej pisał: "Litwa jest dla nas pojęciem tak bliskim, jak miłość rzeczy którą ukochało się nie rozumem, nie miarą, nie wagą kupiecką, a słowem słyszczanym od kołyski, wyobraźnią oczu wpatrzonych w pole, łąkę i las za mą siniejący na horyzoncie. (...) Jeśli zaś chodzi o nasze tu, w wileńskim podwórku snute uczucia, to wiedźcie panowie, że obraz Litwy widziany jest przez nas w koronie ideału (...). Nie wydrą go żadne burze dziejowe, ani złość ludzka, ani huk strzałów, ani niesmak słów wypowiedzianych, ani groźby, ani pochlebstwa". Mackiewicz sygnalizował jednak (pamiętamy tu o cenzurze litewskiej), iż "Nasze stanowisko jest oczywiście inne, niż wykrystalizowanej w dwudziestodwuletnim niepodległym bycie narodowości litewskiej. (...) My się nie zgadzamy, niestety aż z wieloma z tych opinii, tych politycznych tez i wypływającej z nich polityki, która dziś w Wilnie jest wyrazicielem litewskiej Solenizantki (26)". Jeszcze dobitniejsze i wyraźniejsze słowa krytyki pod adresem szowinistycznej polityki rządu litewskiego względem ludności polskiej skierowała żona J. Mackiewicza, Barbara Toporska. Słowa jej przepełnione są goryczą i żalem. Myślę, iż oddają trafnie poglądy krajowców, dla których celem było porozumienie i o b u s t r o n n y kompromis, a nie podporządkowanie i uległość. Toporska pisała, iż "Przez dwadzieścia dwa lata niepodległości Litwa prowadziła politykę nacjonalistyczną.

(...) Po przyłączeniu Wilna wraz z krajem wileńskim (...) oprócz kilku miłych zdań z tej i z tamtej strony nic przyjemnego przez pierwsze trzy miesiące współzycia się nie wydarzyło. (...) Ze sfer urzędowych słyszymy głosy, że rząd litewski nie chce prowadzić polityki opartej na różnicach i przywilejach jednej narodowości na niekorzyść drugiej. (...) Z drugiej strony stoimy przed rzeczywistością, tworzoną przez "Vilniaus Balsas", którego ton udzielił się i innym pismom. Poza tem zupełnie głośno i oficjalnie mówi się o zlitewszczeniu, a raczej "odpolszczeniu" tego kraju. (...) Dziś twierdzą, że o ile „Vilniaus Balsas” będzie grzmiał w tym samym tonie przez pół roku jeszcze, w Wilnie będzie więcej "endeków" niż rok temu w Warszawie. (...) Nazwano nas krajowcami, gdyż reprezentujemy interesy mieszkańców tego kraju. (...) Broniliśmy przed wojną interesów obywateli tej ziemi przed przerostami centralistycznej administracji. Staliśmy na straży zarówno spraw Polaków tutejszych jak i Białorusinów, jak i Litwinów. Dziś ci ostatni nie potrzebują naszej pieczy. W ten sposób w imię tej samej krajowości chcemy dziś bronić w pierwszej kolejności interesów Polaków tutejszych. W pewnej rozmowie z wyższym urzędnikiem (litewskim - K. T.) (...) usłyszałam (...), że Polacy muszą się zasłużyć w pewnej mierze dla dobrego i miłego współzycia. Odpowiadamy; Nie przyjechaliśmy tu ani z księżycą, ani z Ameryki, ani ze Śląska. Rodzimy się i umieramy od wieków na tej ziemi, a w Wilnie wiele kościołów, naszymi rękami wzniesionych, Boga chwali i wiele naszych nazwisk czernieje na cmentarnych nagrobkach. I to są między innymi prawa nie nabyte, a odziedziczone przez nas, wystarczające do obywatelstwa tej ziemi, skoro już inne dla Niej zasługi położone, ktośby nam chciał kwestionować (27)". W warunkach litewskich rządów w Wilnie coraz wyraźniej okazywało się, że idea krajowa ma niewielkie szanse powodzenia, że jest to polityczna fantazja. Zauważyli to i krajowcy, mając jednak nadzieję, że kiedyś sytuacja ulegnie zmianie. Poglądom takim dał wyraz L. Chomiński pisząc "Prasa litewska uznała nas za nacjonalistów polskich, bo podkreślaliśmy naszą polskość, - głosy polskie posądzały nas o ugodowość...! Nikt nic nie zrozumiał, jak widać, a i zrozumieć nie chciał. (...) Nie czas dziś na rozwój idei krajowej. I to nie z naszej winy. Lecz idee mają to do siebie, że (...) z czasem, przy sprzyjających podmuchach wiosennego wiatru, odżyć mogą na nowo i rzeczywistość przeobrazić. Czy i kiedy tego doczekamy?... (28)".

## Przypisy

1. P. Łossowski, Tragedia państw bałtyckich 1939-1944, Warszawa 1990, s. 16-19.
2. Artykuł J. Mackiewicza "My Wilnianie..." do druku podał C. Chlebowski, O wyważoną wolną od emocji ocenę, Tygodnik Powszechny nr 41 z 28 X 1989 r., s. 3.
3. P. Łossowski, Litwa a sprawy polskie 1939-1940, Warszawa 1985, s. 65.
4. Cyt. za "Na skrzydłach plotki", Gazeta Codzienna nr 2 z 26 XI 1939 r., s. 2.
5. O sytuacji w Wilnie pod okupacją litewską zob. P. Łossowski, Litwa... Nawet przychylny Litwinom krajowiec Z. Jundziłł (Z dziejów polskiej myśli politycznej na ziemiach b. W. X. Litewskiego (Wspomnienia wileńskie) w: Alma Mater Yilniensis. Prace społeczności akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego na obczyźnie. Prace zebrane, Londyn 1958, s.59-60) napisał, iż "Rządy litewskie w Wilnie stały się rządami okupacyjnymi w najściślejszym znaczeniu, bo nie znajdując w Wilnie elementów litewskich, całą administrację importowano z Kowieńszczyzny", a "Nacjonalizm litewski, wyłaniając się z obsłonek, na wpół ślepy, rozrywał wszelkie związki naturalne, nie bacząc na to, że wyhodowała je własna tego narodu przeszłość".
6. Z. Jundziłł, dz. cyt., s.41-44.
7. Tamże, s.44-57.
8. J. Mackiewicz "O pewnej ostatniej próbie i zastrzelonym Bujnickim", Kultura nr 11 z 1954 r., s. 82-84. Artykuł ten znalazł się następnie w książce J. Mackiewicza i B. Toporskiej, Droga Pani, Londyn 1984 (tu s. 41-43).
9. Tamże, s.89 (Droga Pani, s.47-48).
10. Tamże, s.90 (Droga Pani, s.48).
11. P. Łossowski, Litwa..., s.262-263.
12. J. Mackiewicz, O pewnej..., s. 91 (Droga Pani, s. 49-50). J. M(ackiewicz), "Chmury nad północą", Gazeta Codzienna nr 4 z 28 XI 1939 r., s. 1 pisał: "Osobiście śledzimy z największą uwagą bieg wydarzeń we wschodniej i północnej Europie. (...) Los Zweibrucken, czy Saarbrucken, mniej wpłynąć może na nasz osobisty, aniżeli wypadki, które się toczą za naszym borem, za drugim pagórkim. W zasięgu dziś się rozgrywającej polityki wschodniej Europy".
13. J. Mackiewicz, "Będziemy mówili prawdę", Gazeta Codzienna nr 1 z 26 XI 1939 r., s. 1.
14. J. Malewski (wł. W. Bolecki), Wyrok na Józefa Mackiewicza, Londyn 1991, s.35.
15. T. Bujnicki, "Nie tylko chlebem", Gazeta Codzienna nr 3 z 27 XI 1939 r., s. 3.
16. B. Szyszkowski, "Idea i jej karykatura", Gazeta Codzienna nr 5 z 29 XI 1939 r., s. 1.
17. Z. Abramowiczówna, "Kilka słów o idei krajowej", Gazeta Codzienna nr 56 z 10 III 1940 r., s. 3.
18. L. Chomiński, "Krajowcy", Gazeta Codzienna, nr 7 z 1 XII 1939 r., s. 1.
19. Tenże, "Krajowcy cz. II", Gazeta Codzienna nr 8 z 2 XII 1939 r., s.1.
20. T. Bujnicki, "Inter arma", Gazeta Codzienna nr9 z 3XII1939r., s. 4.

21. B. Szyszkowski, "Parę słów", Gazeta Codzienna nr 11 z 5 XII 1939 r., s. 2.
22. B. Skirmunt, "Patriota - w dobrem słowa znaczeniu", Gazeta Codzienna nr 12 z 6 XII 1939 r., s. 2.
23. L. Bortkiewicz, "Prosto w oczy", Gazeta Codzienna nr 22 z 1718 XII 1939 r., s. 3.
24. T. Bujnicki, "Kochamy Wilno", Gazeta Codzienna nr 20 z I S XII 1939 r., s. 4.
25. L. Chomiński, "Wilno", Gazeta Codzienna nr 28 z 24-26 XII 1939 r., s. 1.
26. J. Mackiewicz, "Rzecz ważna", Gazeta Codzienna nr 38 z 16II 1940 r., s. 1.
27. B. Toporska, "Polityka mniejszościowa", Gazeta Codzienna nr 42 z 22 II 1940 r., s. 1-2.
28. L. Chomiński, "Jak przyszłość odpowie na terażniejszość", Gazeta Codzienna nr 42 z 6-7 I 1940 r., s. 1.  
"Zeszyty historyczne". Zeszyt sto trzeci, 1993

## Leonard Turkowski Paderewski

Chępią się wszyscy dokoła  
wspomnieniami koncertów twych w dalekim świecie.  
Nie mam tych wspomnień.  
Pamiętam tylko: gdym chodził do szkoły -  
grałem drugie skrzypce w twoim menuecie.

Plączę się jeszcze w mózgu dawne, nie widziane:  
Poznań, ty i radość niecierpliwych pięści -  
27 Grudnia, powstanie  
i  
zwycięstwo.

Więc gdy chcę miłość ziemi poprzeć myślą czynu  
i w słowie „patriota” tętno życia wzbudzić -  
widzę czarne na estradzie stojące pianino  
i szalejący w klawiszach, wiekopomny Grudzień.

1935 r.

## ks. Jan Twardowski Dawna wigilia

Przyszła mi na wigilię zziębnięta głuchociemna  
z gwiazdą jak z jasną twarzą --- wigilia przedwojenna  
z domem co został jeszcze na cienkiej fotografii  
z sercem co nigdy umrzeć porządnie nie potrafi  
z niemądrym bardzo piórem skrobiącym w kałamarnicy  
z przedpotopowym świętym z Piłsudskim w kalendarzu  
z mamusią co od nieszczęść zasłonić chciała łzami  
podając barszcz czerwony co śmieszył nas uszkami  
z lampką z czajnikiem starym wydartym chyba niebu  
z całą rodziną jeszcze to znaczy sprzed pogrzebów  
Nad stołem mym samotnym zwiesiła czułą głowę  
Nad wszystkie figi z makiem --- dziś już posoborowe

Przyszła usiadła sobie . Jak żołnierz pomilczała  
Jezusa z klasy pierwszej z opłatkiem mi podała

Aleksander Zinowiew  
**Homo sovieticus (fragment)**

SPRAWOZDANIE

Ludzie radzieccy przyuczeni są do pisania sprawozdań ze wszystkiego. Czynność ta stanowi nieodzowny element komunistycznej organizacji pracy. Istnieją sprawozdania miesięczne, kwartalne, roczne, pięcioletnie... Pewien stary bolszewik z podstawowej organizacji partyjnej przy naszej instytucji napisał sprawozdanie z całego swojego życia po Rewolucji Październikowej. Trzy tysiące stron zapisanych mikroskopijnymi literkami. Przytaszczył swoje epokowe sprawozdanie w dwóch siatkach na zakupy wprost do pokoju organizacji partyjnej, zażądał przestudiowania go i wyciągnięcia wniosków na przyszłość. Sekretarz organizacji partyjnej zlecił mi wykonanie tej szlachetnej misji. W pół godziny napisałem sprawozdanie ze sprawozdania starego bolszewika, nawet do niego nie zaglądną. „Za panowania władzy radzieckiej — pisałem w swoim sprawozdaniu — autor skonsumował tyle a tyle ton chleba i kaszy, wypił tyle a tyle beczek wódki, napisał tyle a tyle anonimów, tyle a tyle razy doniósł osobiście, taką a taką ilość lat przesiedział na zebraniach, tyle a tyle lat spędził w kolejkach. Drwisz — powiedział Sekretarz. Płaczę — odpowiedziałem. Co my teraz zrobimy? — spytał Sekretarz. Wydamy autorowi oficjalne zaświadczenie, że jego rękopis został przekazany do Tajnego Oddziału Centralnego Archiwum Partyjnego — odpowiedziałem. A po co zaświadczenie? — zapytał Sekretarz. Żeby bolszewik wstawił je sobie w ramki i powiesił na ścianie obok pół setki różnego rodzaju dyplomów i pochwał, które zdążył nabierać przez całe swoje niezmiernie długie i głupie życie — powiedziałem. A dlaczego do Oddziału Tajnego? Po to, żeby nas więcej nie męczył swoimi wspomnieniami. A co z tym zrobimy? — zapytał Sekretarz, pokazując na siatki z bezcennym doświadczeniem życia całego pokolenia. Na śmietnik! — odrzekłem. To do roboty — polecił Sekretarz. — Napisz mi później króciutkie sprawozdanie z wykonanej pracy!

Innym razem polecono mi „opracować” sprawozdanie członków jednej naszej delegacji naukowej, wysłanej za granicę na kongres. Delegacja składała się z pięćdziesięciu ludzi, sprawozdań zaś było sześćdziesiąt. Widocznie niektórzy uczeni, pragnąc wykazać się oddaniem sprawie, napisali po dwa sprawozdania. Każde z nich po pięćdziesiąt stron maszynopisu. O czym to nie informowali uczeni ukochane Organy! Na przykład, że takiego a takiego zachodniego profesora można przeciągnąć na naszą stronę, wydając w Moskwie jego książki, że kierownika pewnego tajnego laboratorium należy zaprosić do Moskwy i podsunąć mu do łóżka sprawdzoną ślicznotkę...

Sprawozdania członków delegacji były szczerze i pouczające. Zazwyczaj jednak sprawozdania pisze się u nas nie dla wyciągnięcia wniosków i nauki, a ze względów wyższych, mistycznych. Dla porządku formalnego. Dlatego też pisujemy w nich, co nam ślina na język przyniesie, toteż rozróżnienie prawdy od wymysłu jest praktycznie niemożliwe. Nie jest nawet potrzebne. Tak czy inaczej naszych sprawozdań nikt nie czyta. Pewnego razu napisałem w moim sprawozdaniu kwartalnym, że udało mi się odkryć dziesięć nowych pierwiastków chemicznych. Uczyniłem to w celach poznawczych: chodziło o sprawdzenie mojej teorii sprawozdań. Wezwał mnie kierownik naszego oddziału. Już myślałem, że moja teoria jest błędna. Alarm okazał się jednak fałszywy. Po prostu moje sprawozdanie było za krótkie i kierownik polecił dodać parę stron. Stwierdziłem demagogicznie, że wartości sprawozdania nie określa ilość stron, lecz to, co — zgodnie ze sprawozdaniem — zostało zrobione. Przeczytaj, czego dokonałem — powiedziałem — i porównaj z tym, co zrobili inni! Nie zwracaj

mi głowy! — odrzekł spokojnie. — Czy myślisz, że inni zrobili mniej od ciebie? A więc dodałem jeszcze parę stron, gdzie napisałem o wynalezieniu przeze mnie metody przekształcania zawartości moskiewskich śmietników w pełnowartościowe produkty żywnościowe. Brawo, zuch jesteś —

powiedział kierownik, przyczepiając moje sprawozdanie do stosu takich samych nieprzeczytanych sprawozdań moich współpracowników. — Kto dobrze sprawozdaje, ten dobrze pracuje!

Nie sądźcie jednak, że sprawozdanie jest zbytęzną, biurokratyczną operacją. Jest ono potężną formą organizowania ludzi w jedno komunistyczne społeczeństwo. Ważna jest nie treść sprawozdania, lecz sam fakt jego istnienia.

## O PSYCHOLOGII SPRAWOZDANIA

Jeżeli nie zrobiłeś niczego, sprawozdanie łatwo napisać. W takim wypadku masz pełne prawo wykorzystać w swym elaboracie wszystko, co wydarzyło się w danym okresie w kolektywie, w kraju, w kosmosie. Masz do tego prawo, ponieważ rzeczywiście byłeś współuczestnikiem wszystkiego, co zaszło we Wszechświecie. O wiele trudniej napisać sprawozdanie, jeśli coś tam zrobiłeś. A jeżeli zrobiłeś wiele, napisanie sprawozdania staje się zadaniem ponad twoje siły. W takim bowiem wypadku twoja świadomość koncentruje się wyłącznie na twojej sprawie, która tobie wydaje się pępkiem świata, kolegom zaś — kompletną bzdurą, zaś do sprawozdania jako zjawiska lingwistycznego niczego nowego nie wnosi. Ale i w pierwszym wypadku lekkość pisania sprawozdania nie jest czymś wrodzonym. Nim człowiek stanie się wykwalifikowanym sprawozdawcą i zacznie komponować sprawozdania z mozartowską lekkością, potrzeba wiele lat treningu.

Otóż to, co obecnie zamierzam napisać, będzie właśnie moim sprawozdaniem z prawideł radzieckiej sztuki sprawozdawczości. Proszę zatem traktować je jako sprawozdanie, tzn. nie doszukiwać się w nim prawdy i nie dać się sprowadzić na manowce. Sprawozdanie jest sprawozdaniem i niczym więcej. Jest jedynie drogowskazem w życiu. Moje sprawozdanie omawiać będzie pracę, którą powinienem był wykonać, lecz nie wykonałem, ponieważ moja praca polegała właśnie na tym, żeby jej nie wykonywać. Opowiadać więc będę o wszystkim na świecie, z wyjątkiem tego, o czym należałoby opowiedzieć. Opowiem np. o zamachu na prezydenta Ameryki, o wybuchu bomby w Bolonii, o demonstracji na rzecz pokoju w Bonn i o niepokojach w Londynie i to w taki sposób, jakby te wydarzenia były dziełem moich rąk. Najśmieszniejsze, że nie jest to pozbawione podstaw, ponieważ w jakiś tam sposób należę do organizacji, która z całą pewnością maczała w tym wszystkim palce, mianowicie — do KGB. Innymi słowy, będzie to psychologiczne sprawozdanie osobnika pozbawionego własnej psychologii z jego pobytu w obcym środowisku, w które osobnika tego rzucono w interesach pewnej Sprawy, po czym zapomniano i o nim, i o Sprawie.

Nie doszukujcie się w moich słowach ukrytego sensu. Zawsze mówię bez aluzji i bez przenośni. Nie zostawiam niczego niewypowiedzianego i niedopowiedzianego do końca. Nie wierzę w ogóle w myśli między wierszami, ani w literackie góry lodowe. Kiedy ludzie nie mają już niczego do powiedzenia, wtedy maskują pustkę wypowiedzianych słów stwarzaniem fałszywego wrażenia, że kryją się za tym potężne racje i zatajona głębia myśli. Znakomite tego przykłady widać nie tylko wśród pisarzy lecz i wśród reżyserów filmowych. Mieliśmy w naszej instytucji pracownika, który zyskał reputację myśliciela właśnie dzięki temu, że był mistrzem w dziedzinie „gór lodowych” i „myśli między wierszami”. Dopiero wtedy, gdy doprowadził swoje mistrzostwo do najwyższych szczytów, to znaczy w ogóle przestał posługiwać się wierszami, między którymi miała być rzekomo ukryta jego myślowa głębia i ukazywać nawodną, czyli widoczną część swoich „gór lodowych”, zrozumieliśmy, że to pasożyt i w dodatku dureń. Ale mimo to do dziś cieszy się reputacją wielkiego myśliciela. Moja sytuacja w porównaniu z tymi myślicielami ma tę zaletę, że moje góry lodowe nie posiadają części podwodnej, a między wierszami brak wolnego miejsca.

Jako doświadczony sprawozdawca, wiem, że sprawozdania mojego nikt nie przeczyta. Czyli forma zwrócenia się do wymagowanego czytelnika jest jedynie naszym radzieckim



przyzwyczajeniem. Tamten stary bolszewik, którego sprawozdanie wyrzuciłem na śmietnik, również zwracał się do wyimaginowanego czytelnika — do „leninowskiego KC”, do „naszej Partii” i do „całej postępowej ludzkości”. A czy kto poznał i wykorzystał jego bezcenne doświadczenie życiowe? Co więcej powiedzieć o człeczynie, który nie siedział w carskich kazamatach, nie przelewał krwi na barykadach, nie szturmował Perekopu, nie budował Komsomolska, nie rzucał się nagą pierśią na wraże cekaemy i nie przetał drogi dla nowych osiągnięć?!

## PODEJŚCIE TWÓRCZE

My, ludzie radzieccy, nauczeni jesteśmy do wszystkiego podchodzić twórczo. W związku z tym przypomina mi się takie oto pouczające zdarzenie: nasi szpiedzy ukradli na Zachodzie plany techniczne tokarki przeznaczonej do bardzo złożonych i delikatnych operacji. Udało się również zdobyć części składowe urządzenia. Utworzono specjalną grupę roboczą z zadaniem rozpracowania maszyny. Sprawą zainteresowane było najwyższe kierownictwo, gdyż potrzebowano tokarki do budowy czołgów. Grupa otrzymała polecenie twórczego, nowatorskiego i racjonalizatorskiego podejścia do całego zagadnienia. No i zaczęło się. Przy pierwszym montowaniu tokarki okazało się, że pięć części jest zbędnych. A tokarka pracowała. Rozłożono ją więc i złożono ponownie. Tym razem było już dziesięć części zbędnych. A tokarka działała w dalszym ciągu. Powtórzono więc demontaż i montaż raz jeszcze. Teraz części zbytecznych było już dwadzieścia. Tokarka — o dziwo — pracowała nadal. Oj, pośmieli się wszyscy z tej „słynnej zachodniej techniki”! Ktoś podsunął pomysł, żeby urządzenie złożyć i rozłożyć jeszcze z pięć razy, a tokarka będzie pracować w ogóle bez części. To by dopiero było osiągnięcie! Członkowie grupy spojrzeli na owego superracjonalizatora i postanowili poprzestać na dotychczasowych wynikach. Górę poinformowano, że w wyniku twórczego podejścia grupie udało się znacznie uprościć nadmiernie skomplikowaną konstrukcję tokarki. Po tym wszystkim tokarka zaczęła wykonywać najbardziej proste i prymitywne prace, a miesiąc później rozleciała się (i to doszczętnie). Ale do tego czasu przywództwo przestało się nią interesować. Firmy zachodnie zaczęły nam sprzedawać gotowe części do czołgów. Tokarka w ogóle okazała się zbędna...

Bardziej jeszcze pouczający wypadek miał miejsce w tak zwanej „Szkole Leninowskiej”, gdzie kształci się naszych szpiegów, przewodniczących rozmaitych partii komunistycznych i przyszłych proradzieckich urzędników państwowych w krajach zachodnich. Jeden ze słuchaczy, chcąc przypodobać się naszemu przywództwu, potraktował poważnie wezwanie do twórczego podejścia i zaczął pleść takie koszałki—opałki, że już chciano zamknąć szkołę, jako siedlisko eurokomunizmu. Ten zachodni komunista, choć był komunistą, pozostawał człowiekiem Zachodu i jako taki istoty twórczego podejścia nie rozumiał. Na zamkniętym posiedzeniu KC, podczas którego omawiano niewłaściwe metody działania komunistów na Zachodzie, sekretarz od spraw ideologicznych stwierdził, że przyczyną tego jest „niezdolność do twórczego podejścia”.

Wysyłając mnie tutaj, odpowiedzialni towarzysze z Organów wśród różnych innych rad i przestróg na drogę kazali mi podejść do mojej misji twórczo. Jako człowiek radziecki rozumiałem prawdziwy sens tego zalecenia: siedź cicho i nie podskakuj! Jeżeli zaś chodzi o same zdolności twórcze, to są one potrzebne jedynie do pisania sprawozdań. Najgorsze sprawozdanie będzie ciekawsze od najlepszej roboty, jeżeli skomponuje się je ze znanstwem... nie, nie omawianego w nim zagadnienia, lecz techniki wykonania. Moje tutejsze życie jest nudne i szare w porównaniu z tym, co mógłbym o nim naopowiadać. Można sobie wyobrazić, co się będzie działo na tym świecie, jeżeli zaczniemy pisać sprawozdania z pobytu na tamtym.